B.
W.
odzi

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 9 marca 1958 r. Cena 1 zł nr 2

REPORTAŻ Z NAGRODAMI • OFIARY SPRYTNYCH OJCÓW • PODRÓŻ W ROK 1965 • MARTWY PARAGRAF • ZA SCENĄ I W GARDEROBIE • LISTY MIŁOSNE • CZŁOWIEK O 20 TWARZACH • BEZPARTYJNIAK ILUSTROWANY • GOLONO - STRZYŻONO

Alina Sapocznikow. Trudny wiek
Fotografował Andrzej Kondratiuk

ZBIERAJĄ LAURY

kinema-
ącznie. W
Ameryce
957 r. już
e napoty-
ja filmów
a wprost
tają z po-
Nowym
ospektyw-
ematogra-
ncisco —
ych. Obe-
o zakup
ch w róż-
jednoczo-
kazowe o
opagando-
ybitniejsze
ego. Tym-
ojorska za
(wyświe-
Gerwaise"
agrodzone
nglii, Bel-
. Jedno-
York Ti-
Crowther
ych, jego
liście fi-
ji fran-
jesteśmy
balonik",

SKAT.

h

louse Lautrecu,
y" Alberto Lat-
Lekkoduch" — o-
komedia reż.
ego, duński
gniewu" klasyka
grafii Carla Drey-
„Skandal w Ben-
prod. NRD.
dziany jest tak-
Kichot" — nowy
sera Kozincewa z
em w roli tytu-
koda tylko, że te-
ego filmu nie uj-
wersji panora-
reofonicznej. Nie-
dź nadal nie po-
ina z szerokim

(jal)

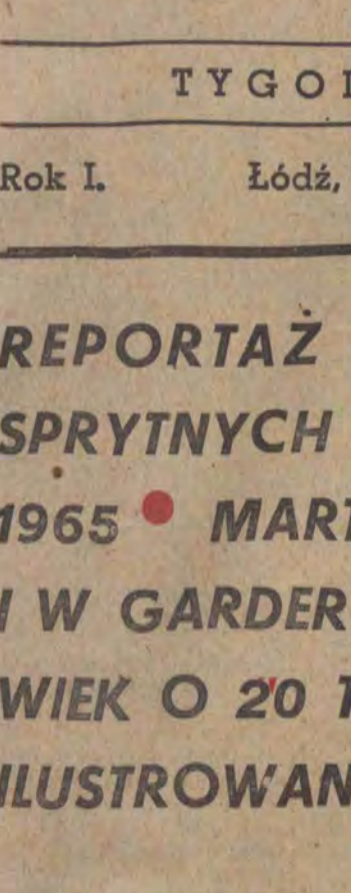

„PSTRĄG" W SOCZEWCE

Zdjęcia z nowego programu Studenckiego Teatrzyku Satyrycznego w Łodzi.

- **Radioaparat „Wola"**
- **2 radioaparaty „Szarotka"**
- **Rower**
- **4 bezpłatne karty tygodniowej podróży autokarem do Krakowa i Zakopanego**

oto nagrody, które czekają na Ciebie, jeżeli bierzesz udział w naszym I konkursie. Do wzięcia udziału w tym konkursie potrzebne są Ci pierwszy i drugi numer „ODGŁOSÓW". Na stronie 9 niniejszego numeru czytaj powtórzenie zadań konkursu.

Nasza szkółka

NAUKI, RADY, PRZESTROGI

Świeta idea uczenia się czytania gazet lub uczenia się różnych rzeczy w wyniku czytania gazet obejmuje coraz szersze masy.

Jak się dowiedziałem, spędziwszy miły wieczór z pewną intelektualistką — członkiem wspierającym członków Związku Stałych Bywalców Kawiarnianych — Rudą Kizią z rogu Piotrkowskiej i Tuwima — młode intelektualistki pracujące z wypiekami na twarzy czytają sprawozdania ze śledztwa przeciw Helenie Ratajczyk. Dla tak zwanej nauki. „Bo wiisz — wywodziła Ruda Kizia — to czysta amatorszczyzna! Po pierwsze trzeba było jakiegoś faceta naprawdę do chaty Sionka przytaszczyć i potem dopiero starucha goździem, żeby na frajera w razie czego było, po drugie — Chryste Panie — nie dla sześciu stów! Nie dla sześciu — do licha! Żebractwo takie".

Przytoczywszy opinię Rudej Kizi (czwarty filar podcieni na Tuwima, niech dziewczyna ma reklamę!) wyrażam obawę, że mniej rozwinięte intelektualnie jej kumpelki mogą pokusić się o mechaniczne przeniesienie doświadczeń Heleny Ratajczyk nie uwzględniając polskiej specyfiki, polskich możliwości, tradycji i ducha narodowego, a tym samym zagrażać bezpieczeństwu takich jak ja wiernych klientów, bezpiecznych dotąd dzięki temu, że nie posiadają ani lat siedemdziesięciu, ani 600 zł. Spieszę więc stwierdzić, że tylko łamagi ostateczne puszczają się dziś na mokrą robotę. Zarobić można dużo i bezpiecznie. Jak? Chcecie wiedzieć? Trzeba czytać gazety!

Nie łódzkie oczywiście. Gdy w Łodzi skradziono ostatnio kilka maszyn z fabryki — prasa nie raczyła opisać ewidentnie jak to te szemrane facety zrobiły. W ten sposób sprzyja się w Łodzi ciemnocie i sieje wiarę w siły zaziemskie, czyli tzw. cuda.

Czytać trzeba również gazety warszawskie, gdzie przedstawiony jest większy rozmach i fantazja w branży ludzi o antypensyjnym nastawieniu życiowym.

Nadrobię tu więc materiał zaległy ku nauce i pożytkowi, ale uwaga, na przyszłość repetować materiału nie będę. A czytać gazety! — powiadam.

Jeden zmyślny warszawski chłopczyk kupował polskie wyroby gumowe po 80 gr. sztuka, cynfolię po 1 zł (te kilka centymetrów na sztukę) sztancował cynfolię w ładny wzorek: „Rekord! Rekord! Made in Ameryka" z orzełkiem, pakował w to prezerwatywy i sprzedawał po 5 zł polskich, jako gwarantowany produkt zagrani-

(Dokończenie na str. 2)

Nasza szkółka

NAUKI, RADY, PRZESTROGI

Dokończenie ze str. 1

czny. Mimo ogromu klęski społecznej, jaką spowodował, zarobił zaledwie coś ze trzy latka i to jako ofiara przypadku i uspołecznionego adwokata.

Zarobił też kilkaset tysięcy. Niech mu odsiadka lekką będzie!

Inny jego kumpel w porządnym kraju dostałby order za prostotę pomysłu: kupował w państwowych hurtowniach tysiące butelek jako przedstawiciel jakiejś tam spółdzielni i sprzedawał je zwyczajnie, legalnie w sklepach skupujących osierocone przez wódkę butelki. Na różnicy cen zarobił hopy na willę, samochód i dodatki. Nie wiadomo, czy dostanie za to cokolwiek mamra, bo transakcja prawie legalna: i kupić obywatelowi wolno, i sprzedać.

Pewnego razu obsługa warszawskiego tramwaju otrzymała polecenie odstawienia wehikułu do remizy remontowej. Pik! co — pojeździła więc sobie przez trzy dni po mieście zarabiając forsę za bilety (uprzednio buchnięte) do własnej kieszeni. Tramwaj nocował sobie grzecznie na pętli. Po trzech dniach odstawili go do remizy. Draka się wydała z powodu jakiegoś idioty, który w „ich" tramwaju zapłacił kontrolerowi mandat za jazdę bez biletu. Coś tam szurał o ten mandat. Okazało się, że numer tramwaju, w którym wybulił, nie jeździł wtedy, ale się kurował, z drugiej strony niby jeździł i wpadli dranie na całą historię.

Oczywiście, przed wojną poziom w branży był o wiele wyższy. Z łezką w oku wspomnieć tylko możemy takie np. numery.

Do wielkiego warszawskiego jubilera wchodzi elegancki pan. Szofer otwiera mu drzwi. „Pan, który trzyma rękę na temblaku" — rzecze do jubilera, „że jutro żony jego urodziny, więc chciałby kupić jakiś drobiazg". Wybiera, wybiera i odkłada sobie najdroższą kolię. Sięga, żeby płacić i powiada: „Ach, zapomniałem pieniędzy, jeśli pan pozwoli to wyślę Jana — to jest szofera — do żony po gotówkę". Prosi o przybory, już chce kreślić list do żony, kiedy syka z bólu (a propos ręki na temblaku) i prosi jubilera czy by za niego kilku słów podyktowanych mu nie skreślił. I dyktuje: „Droga Zosiu, przyślij mi pięćdziesiąt tysięcy złotych. Mam na mieście świetny interes do sfinalizowania. Czekam w sklepie".

— Pan rozumie „interes" — to żeby nie psuć urodzinowej niespodzianki — dodaje. Szofer odjeżdża z listem, a nasz pan hop do telefonu i zaczyna rozmówkę:

— Halo! Stachu, to ty? Wczoraj byłem u Radziwiłłów. Tak, tak, Mościcki zaprosił mnie na polowanie, ale nie wiem czy pojadę, nudzi mnie ten stary gaduła.

Jubiler gnie się w ukłonach, zaszczycony klientem. Czas mija. Wreszcie wraca szofer z flotą. Pan kupuje i odjeżdża. Ledwie wyszedł u jubilera dzwoni telefon. Żona go pyta, po co mu była taka suma i czy musi z kartką posyłać obcego człowieka? Nasz pan wykorzystując kartkę napisaną przez jubilera, podjął te pieniądze u jego własnej żony.

Tyle nauki na dzisiaj. Uczcie się, młodzieży!

Gdybyście jednak czuli się obrażeni, że tak pomiatam Łodzią i uważam ją za zdolną tylko do mokrej roboty za sześć stów — zwracam honor. Gdzie jak nie w Łodzi Górska i Staśkowska 31 razy sprzedawały mieszkanie, a nawet wprowadzały do realnego mieszkania klientów na oczach administracji i milicji. Ba, kłóciły się z milicjantem. I jeśli nawet „wszystko się wydało", jak pisze „Express", dzięki genialnej przenikliwości milicji, rzecz jasna, to i tak pomnik na placu Wolności kobietom się należy. Gdzież wreszcie, jak nie w Łodzi branża intelektualistek pracujących poniekąd fizycznie dla łapania klienteli posługuje się ogłoszeniami w gazetach: „Młoda... ładna... pozna... pana... cel towarzyski", albo gdzież jak nie w Łodzi można zrobić najlepszą partię małżeńską w sposób nowoczesny przez gazetowy kącik matrymonialny:

> KULTURALNY trzydziestoletni mężczyzna z mieszkaniem, dobrze usytuowany, przystojny bez nałogów pozna w celu matrymonialnym absolwentkę włókiennictwa wyspecjalizowaną w obsłudze nowoczesnego aparatu dziewiarskiego. Oferty pisemne „2693" Biuro Ogłoszeń, Piotrkowska 96. 8493-G

(*Express Ilustr. nr 38*)

Jednakże, moi drodzy, najlepiej jest pisać felietony.

Wasz
Belfer

PS. Pardon. Zapomniałem się zaasekurować. Kandydaci na pierwszych socjalistycznych świętach spod znaku PAX prowadzą równie świętą wojnę z „demoralizowaniem młodzieży" i wszystkimi innymi plagami, jakie oburzają ich białe, bezgrzeszne duszyczki. Ponieważ ostatnio atakują już nawet za zdjęcia (ubranych po szyję) śpiewaczek i używanie w prasie słowa „pocałunek" — przewiduję napaść na biednego Belfra. W tym celu wyciągam dłoń i krzyczę nabożnie: jam sojusznik Wasz. Różni nas co najwyżej taktyka. Wyście maksymalistami, ja jestem realistycznym minimalistą. Na początek występuję przeciwko mokrej robocie, wskazując inne możliwości, ale potem nawrócę się na pewno na drogę cnoty absolutnej, antypocałunkowej i antyantykoncepcyjnej. Za ile to by leciało?

Rys. K. Schrader („Eulenspiegel")

ROZMOWY o ARCHITEKTURZE

PODRÓŻ w ROK 1965

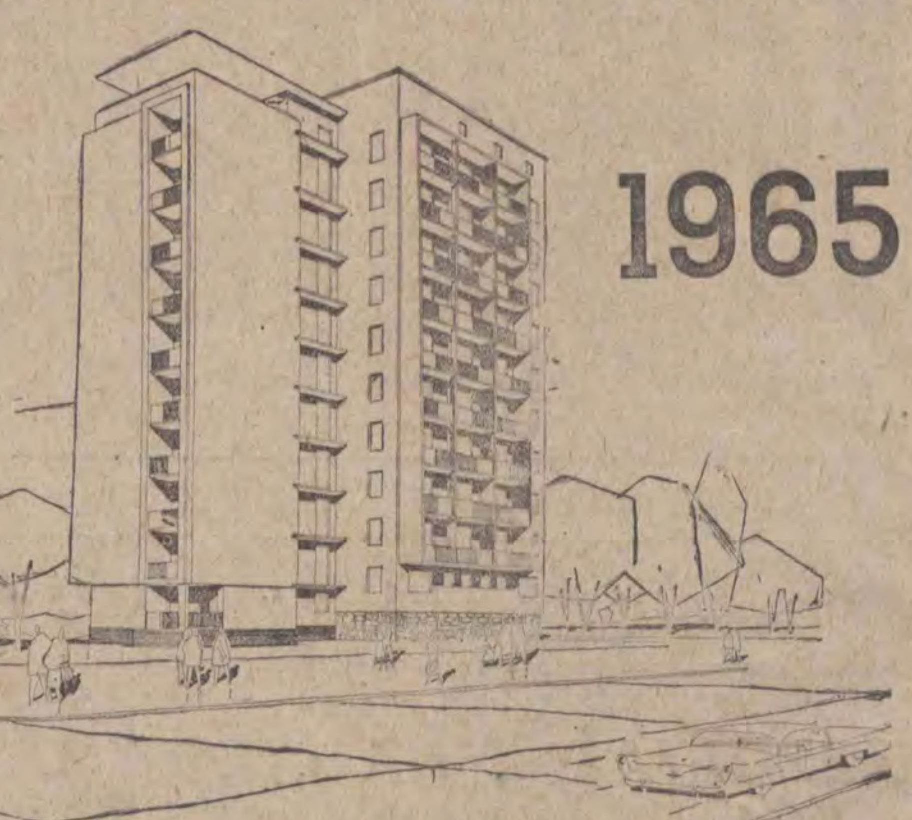

Wysokościowiec, Łódź Chojny
Projektował arch. Aleksander Zwierko

Nie mamy w naszym mieście wspaniałych historycznych założeń urbanistycznych, nie mamy cennych zabytków, a więc Łódź jest miastem pozbawionym tych elementów, które tworzą charakterystyczny nastrój i piękno innych miast polskich czy w ogóle europejskich.

Tyle nam zostawiła historia. Ale my w niektórych wypadkach zamiast istniejący stan poprawiać jeszcze go pogarszamy. Bo np. czy okna i drzwi w budynkach remontowanych muszą być malowane w całej Łodzi jednym kolorem? I dlaczego mając do wyboru kilka kolorów, wybiera się najbrzydszy (buraczkowobrązowy)? Dlaczego kiosk informacyjny MO na pl. Wolności ma przypominać stóg siana?

Takich pytań można postawić więcej. Ale nie o to przecież chodzi. Chodzi o to, żebyśmy wspólnie zaczęli troszczyć się o nasze miasto, jego wygląd i stan.

Po tej niezbyt wesołej uwadze na temat Łodzi dnia dzisiejszego popatrzmy się w przyszłość.

Około 1965 r. podróżny przybywający pociągiem do Łodzi, dajmy na to od strony Sieradza, gdy wyjrzy z okien wagonu w rejonie Lublinka (skąd roztacza się dość szeroka panorama Łodzi) zauważy duże zmiany w sylwecie miasta. Obok wystrzelających w niebo wież kościelnych i kominów fabrycznych staną wielkie budynki mieszkalne. Na samym Nowym Rokiciu, nowowybudowanym osiedlu na południu Łodzi, będzie ich sześć. Kilka stanie na Bałutach i Dołach. Powstaną także w Śródmieściu. Reprodukujemy wieżowiec mieszkalny, który stanie w rejonie ulic Spornej i Wojska Polskiego. Jak widzimy architektura tego budynku różni się „cośkolwiek" od innych budynków tego typu wznoszonych w ubiegłym okresie. Poza sobą już mamy okres panowania tzw. socrealizmu w architekturze, kiedy to wiele pieniędzy tracono na rzeczy całkowicie zbędne, jak bogate kamienno-rzeźbiarskie opracowanie elewacji zwykłych budynków mieszkalnych, które nawiasem mówiąc, wcale nie stawały się przez to piękniejsze.

Dziś inny duch panuje w twórczości architektonicznej. Podstawowym czynnikiem kształtującym naszą nową architekturę jest ekonomia budowania przy jednoczesnym osiąganiu maximum komfortu (w określonych granicach) dla użytkowników. Nie zapominamy również o tym, że architektura jest sztuką i to sztuką docierającą do najszerszych mas, kształtującą ich smak i gust. I tu dochodzimy do sedna sprawy. My, architekci, chcemy wiedzieć, co sądzą o nowej łódzkiej architekturze, o nowych mieszkaniach sami mieszkańcy Łodzi, użytkownicy tych mieszkań. Jak się Wam w nich mieszka, co chcielibyście w nich zmienić lub widzieć nowego. Chętnie z Wami podyskutujemy, a ciekawe i nowe pomysły zastosujemy w nowych projektach.

Korzystając z gościnnych szpalt „Odgłosów" Stowarzyszenie Architektów Polskich będzie publikować artykuły na tematy architektoniczne oraz reprodukować projekty, zarówno te przeznaczone do realizacji, jak i opracowania koncepcyjno-perspektywiczne.

Andrzej Szustkiewicz

Z wokandy sądowej

Ofiary sprytnych ojców

W niewielkim pokoiku, pełniącym obowiązki sali rozpraw Sądu Powiatowego dla m. Łodzi sędzia sięga po następną obwolutę i wywołuje sprawę. Przed poplamionym atramentem stołem staje tylko powódka.

Jest to kobieta w nieokreślonym wieku, odziana w mundur konduktorki MPK. Jej zmęczone oczy wyrażają na przemian obawę i ufność i spoczywają wreszcie na dłużej na twarzy ławniczki z prawej strony — jedynej kobiety w komplecie orzekającym.

Przewodniczący referuje sprawę. Historia jakich tysiące. Mąż odszedł, zostawił matce troje drobnych dzieci, pojechał na Zachód, dobrze zarabia, pije, pieniędzy żadnych nie przysyła. Prośby nie pomagają.

Zwróciła się do Ligi Kobiet, napisały panie pozew, ściągnięto dane o wysokości zarobków. Jest tu teraz przed sądem ze swoją krzywdą i „popiera powództwo", jak to zgrabnie zaznaczono w protokole rozprawy.

Pozwany nie stawił się. Po kilku kwadransach sąd ogłasza wyrok zaoczny, zasądzający kilkasetzłotowe alimenty, „płatne do rąk matki".

A także nadaje wyrokowi „rygor natychmiastowej wykonalności".

* * *

W drzwiach biura pomocy prawnej staje kobieta w tramwajarskim płaszczu z dzieckiem na ręku. Obok niej drepce kilkuletni chłopiec.

Dyżurny adwokat spogląda na nogi chłopca. Stopy dziecka obute są w brudne tenisówki. Na dworze jest wczesny listopad. Kobieta prosi o poradę. Ma zasądzone alimenty. Wysłała tytuł wykonawczy do komornika.

Dostała raz pieniądze. Potem mąż zmienił pracę, przeprowadził się.

Nie wie dokąd, pisała do firmy, ale odpowiedzieli, że nie wiadomo im nic o dalszym zatrudnieniu zwolnionego. Pyta co robić, nie wystarcza jej nawet na życie. Ma wyrok z pieczątką — nie ma pieniędzy. Chłopiec nie pytany dodaje: „Bo tatuś to wódkę pije, ale nam nic nie daje".

Dyżurny adwokat zastanawia się. Odświeża w pamięci całe swoje smutne doświadczenie w analogicznych wypadkach. Wie, że komornik przy egzekucji środków alimentacyjnych ma obowiązek z urzędu przeprowadzić stosowne dochodzenie dla ustalenia zarobków dłużnika. Wie też, że piękny ten przepis ma w praktyce minimalne zastosowanie. Z przyczyn tak zwanych obiektywnych. A także i nie obiektywnych.

Można też poszukiwać nowego adresu ojca rodziny przez biuro adresowe Komendy Głównej, a po jego ustaleniu zwrócić się znów do komornika o ustalenie miejsca zatrudnienia i zajęcie wynagrodzenia. Można... potrwa to chyba parę miesięcy. Można też i radykalnie. Zwrócić się do Prokuratury z doniesieniem o złośliwym uchylaniu się od obowiązku alimentacyjnego. Przeciwko niedobremu tacie wszczęte zostanie dochodzenie. Najpierw się go poszuka. Popłyną po Polsce pisma i telefonogramy. Pewnie się go kiedyś odnajdzie, może nawet prędzej. Tylko... — w międzyczasie spadną z nóg dziecka zdarte tenisówki, a listopad ustąpi w kalendarzu miejsca grudniowi... styczniowi.

Prawnik siedzący naprzeciw tramwajarki z dzieckiem na ręku myśli:

— Można by przecież wprowadzić obowiązek zaznaczania na zaświadczeniu pracy zwalnianego pracownika, że wynagrodzenie jego obciążone jest obowiązkiem alimentacyjnym do wysokości takiej to a takiej, na podstawie tytułu wykonawczego numer „x" na rzecz obywatelki „y", zamieszkałej w „z". W nowym miejscu pracy żądano by przede wszystkim zaświadczenia z poprzedniego zakładu pracy i bez zwłoki potrącano, co należy. Olbrzymia większość mężów i ojców żyje przecież w naszym kraju z pracy zarobkowej. To już byłoby wiele. Nikt jakoś dotąd nie próbuje realizować tego ani innego, może lepszego sposobu.

A ofiary sprytnych ojców ciągle nie mogą zrozumieć, dlaczego wyrok sądowy nie oznacza końca kłopotów. Dlaczego mają tylko urzędowy papier z orłem na okrągłej pieczęci — a nie mają pieniędzy dla swych dzieci, tak dobrze wiedzących, że tatuś ma na wódkę, tylko nie ma dla nich.

Dyżurny adwokat zastanawia się, jak szybko i skutecznie pomóc klientce. I jedno tylko wie na pewno: może zrezygnować z honorarium za poradę.

ZYGMUNT KONARSKI

KIEDY PADAŁ ŚNIEG...

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: ANDRZEJ KONDRATIUK i MACIEJ KIJOWSKI

REPORTAŻ Z NAGRODAMI!

REPORTAŻ Z NAGRODAMI!!

2 x KONKURS

NAGRODY SPECJALNE

Nagrodę otrzyma każdy, kto pozna siebie na zdjęciu i przyjdzie do redakcji „Odgłosów" w dniu 13 marca br. o godzinie 12. Właściciel pieska także.

NAGRODY POCIESZENIA

Inne nagrody rozlosowane zostaną między Czytelników, którzy do dnia 13 marca br. nadeślą do redakcji jedno zdjęcie (albo jego fragment) wycięte z niniejszego reportażu, a uważane przez nadawcę za najładniejsze. Do każdego listu — zamiast kuponu — załączyć należy dodatkowo poniższe zdjęcie.

GDZIE JEST PIES POGRZEBANY?

Ambasador radziecki w Londynie, Jakub Malik, zapytany przez kogoś, co myśli na temat amerykańskiego satelity, odpowiedział: — Jestem przekonany, że Amerykanie nie mają zbyt wielkich trudności z samym sputnikiem, ani też z rakietą nośną. Ich gorzką troską jest natomiast co innego. Nie mogą znaleźć takiego psa, który chciałby się zmieścić w ich satelicie.

CHURCHILL — KICZARZ

Wystawa obrazów Winstona Churchilla w Kansas City wywołała w kołach artystycznych St. Zjednoczonych ożywione spory. W dyskusji zapytywano, czy szanujące się muzeum może wystawić te obrazy jako dzieła sztuki, czy też jako swego rodzaju rekwizyty historii? Amerykański magazyn „Time" cytuje pogląd dyrektora Carnegie-Institut w Pittsburgu, pana Leona Arkus, który miał oświadczyć: „Churchill jest okropnym kiczarzem". Dyrektor Muzeum Sztuki w Cincinnati, Philip R. Adams, wyraził się: „Wystawa podobnych malunków nie sprzyja zbliżeniu ludzi do sztuki, nie ma w tym bowiem nic z prawdziwej sztuki — to jest tylko sztuka pana Churchilla".

URODZONY W... SKRZYNCE POCZTOWEJ

Dla uczonych zatrudnionych w amerykańskich zakładach atomowych w Los Alamos, wydano ostatnio nowe przepisy, dotyczące zachowania tajemnicy, które obejmują również rodziny uczonych. Zgodnie z tym, metryki nowonarodzonych dzieci ekspertów atomowych mają zawierać tylko następujące dane: Urodzony(a) w skrzynce pocztowej nr 1663.

CO Z TEGO WYNIKNIE?

Trzy plemiona Indian północno-amerykańskich wygrały w pierwszej instancji spór prawny o zagrabione im przed 125 laty terytoria. Specjalna komisja do zbadania roszczeń Indian w Waszyngtonie orzekła, że istotnie te trzy szczepy były niegdyś w posiadaniu 1,6 miliona hektarów ziemi na części półwyspu Michigan oraz znacznej części stanu Wisconsin, że zachowują do tych ziem tytuł prawny i że rząd St. Zjednoczonych winien wypłacić im odszkodowanie.

KTO ZAPEŁNIA SALĘ?

„Komsomolska Prawda" omawia obwodowe konferencje Komsomolu. Na jednej z nich sekretarz chosińskiego rajkomu Komsomołu w Bukowinie, Domaneczuk, mówił o sposobach krzewienia propagandy ateistycznej. Oto fragment jego przemówienia:

„Jeśli chodzi o propagandę ateistyczną, jak ją ulepszyć? Często ograniczamy się tylko do referatów, do wykładów. A w jaki sposób organizuje się te wykłady? Nierzadko bywa tak, że na godzinę przed prelekcją sekretarz biega gorączkowo po kołchozie i zbiera ludzi. Do kogo kieruje się w pierwszym rzędzie? Do aktywu, ci przyjdą zapełnić salę. I jakaż z tego korzyść? Do świetlicy przychodzą sami bezbożnicy i prelegent przez dwie bite godziny wbija im do głowy, że Boga nie ma. Jakaż korzyść z takiej prelekcji?

Dlaczego na nasze prelekcje tak niechętnie przychodzą wierzący? W większości wypadków treść prelekcji jest ogromnie prymitywna, od razu bije na odlew. A tytuły? „Religia — wrogiem ludu!" „Reakcyjna istota religii" czy też coś w tym duchu. Zrozumiałe, że na taką prelekcję chyba siłą można sprowadzić człowieka wierzącego".

NIE ZMÓWILI SIĘ

Po pewnym ekstrawaganckim weselu w Texas doszło do gwałtownej bójki między pilotem a panem młodym. Para milionerów wzięła ślub w powietrzu i zaangażowała pilota, aby w momencie uroczystości napisał na niebie smugą dymu słowa „Kocham Cię". Ów powietrzny pisarz uważał tę ceremonię za tak głupią, że zamiast romantycznego zdania napisał na błękicie tylko jedno, ale za to bardzo wyraźne słowo ← „Idioci".

EMANCYPACJA

W Danii w luterańskim kościele narodowym dopuszczono kobiety do sprawowania funkcji duszpasterskich. Już 5 kobiet jest pastorkami.

MAŁŻEŃSKA TROSKA

W końcu stycznia zgłosił się do biura policji we Fresco (Kalifornia) mister Edward Dubois i zakomunikował, że zginęła mu żona i że kiedy ją widział po raz ostatni, miała przy sobie zaledwie 5 dolarów. To właśnie stało się przyczyną jego wielkiego niepokoju o małżonkę. Urzędnik policji zapytał go, kiedy to miało miejsce, na co pan Dubois odpowiedział: O, to już dawno, 2 maja!

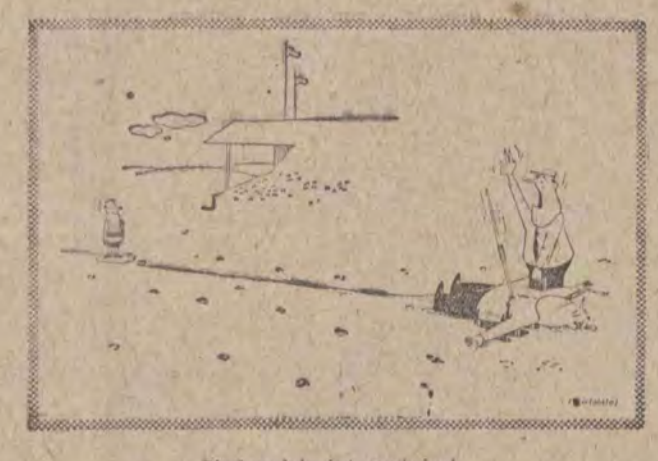

— *Siedemdziesiąt metrów!..*

(„Epoca")

SAGANKA NIEMORALNA

Francuskie ministerstwo oświaty cofnęło subwencję w wysokości 2,5 miliona franków, przyznaną początkowo na rzecz baletu Saganki „Les Rendez-vous Manque" („Nieudane rendezvous") W opublikowanym przez rząd oświadczeniu czytamy, jakoby balet odbiegał od pierwotnej wersji, która stała się podstawą dotacji. Rząd krytykowany był ostro w prasie i parlamencie za udzielenie wspomnianej subwencji, ponieważ „balet jest w wysokim stopniu niemoralny". Na marginesie warto tu wspomnieć, że przed prapremierą baletu w Monte Carlo książę Rainier zażądał skreślenia jednej ze scen, uzasadniając żądanie tym, iż do teatru przybywa wraz ze swą małżonką.

DLA FILATELISTÓW

W lutym na terenie Hamburga odbyła się największa w NRF po wojnie aukcja znaczków pocztowych. Przedstawione znaczki reprezentowały wartość jednego miliona marek NRF (1 dolar = 4,20 DM). Gwiazdą aukcji był zbiór szwajcarski o wartości 70.000 DM. „Lew toskański", znaczek włoski z roku 1860, został oceniony na 10.000 DM. Jednym z egzemplarzy, zawierających tak uwielbiane przez filatelistów błędy drukarskie była austriacka „Parlamentsmarke" (20 koron) z roku 1920, która kosztuje obecnie 4.500 DM, podczas gdy cena tego samego znaczka wydrukowanego bezbłędnie wynosi 20 fenigów. Słynne „Kietaprovisorium" z niemieckiej Nowej Gwinei kosztowało na aukcji 5.000 DM. Jest to znaczek z roku 1908; w tym czasie zabrakło przejściowo znaczków o wartości 3 DM i poczta na arkuszu znaczków 5-markowych umieściła nadruk „3". Obecnie zachowało się jedynie sześć ostemplowanych znaczków noszących ten nadruk. Prawdziwą rzadkością był także zaprezentowany na aukcji jeden egzemplarz znaczka niemieckiej Afryki wschodniej o wartości 1 rupii ze znakiem wodnym. Obecnie jest tylko 7 tych znaczków. Egzemplarz wystawiony w Hamburgu został oszacowany na 6.000 DM.

PREZYDENT I DENTYSTA

THEODOR HEUSS, prezydent NRF, polecił zakomunikować monachijskiemu dentyście nazwiskiem Willy Robert Reichel, iż pragnienia, aby być eleganckim „nie włączył jeszcze on (tzn. Heuss) do swego poglądu na świat". Reichel napisał bowiem do Heussa, iż nie podobało mu się bardzo zdjęcie opublikowane na tytułowej stronie pewnego tygodnika ilustrowanego. „Ręce kawy u Pańskiego fraka są zbyt długie, a mankiety u koszuli za krótkie... Chciałbym mego prezydenta, którego bardzo poważam, widzieć ubranego korekt". Osobisty sekretarz Heussa napisał w liście do monachijskiego dentysty, iż prezydent wielokrotnie publicznie oświadczył, iż nie ma on ambicji, by być „manekinem rządu związkowego".

SKANDAL

W połowie października ub. roku w wiedeńskim dzienniku „Bildtelegraph" ukazał się wywiad z jugosłowiańskim politykiem i historykiem, Vladimirem Dedijerem. Jak się okazuje, wywiad ten został od początku do końca wymyślony z palca. „Bildtelegraph" oznajmił niedawno, że został wprowadzony w błąd przez wiedeńskiego dziennikarza Wessiga, Wessig zaś przyznał się, że wywiad został przezeń samego po prostu sfabrykowany. Dedijer, któremu fikcyjny „interlokutor" włożył w usta ostrze wypowiedzi na temat sprawy Dżilasa, zaprotestował stanowczo przeciwko „wywiadowi" i zaskarżył redakcję „Bildtelegraphu". Sprawa znajduje się na wokandzie sądowej w Wiedniu.

PEDANTERIA

W jednej z miejscowości w Dolnej Saksonii zarządzono ponownie wybory przedstawicieli do władz municypalnych, ponieważ komisja stwierdziła, że kabina do głosowania była zbudowana z kawałka blachy ochronnej do pieca oraz z zawieszonej mapy.

PERSWAZJA

„KOMSOMOLSKA PRAWDA" zamieściła niedawno artykuł K. Jarcewa, piętnujący poddawanie się przez niektórych młodych ludzi tatuażowi. Moda na tatuaż szerzona jest przez zarabiających na tym „specjalistów", których ulubionym terenem działalności są kąpieliska nadrzeczne i nadmorskie. Autor artykułu perswaduje również marynarzom, by wyrzekli się tradycji tatuażu.

REKWIZYT HISTORYCZNY

Londyńska prasa emigracyjna donosi:

Przechodnie na Brixton Rd. dostali dreszczy przerażenia, gdy ujrzeli ogromnego nietoperza — wampira.

Ale przeciskając się przez tłum wampir-nietoperz powtarzał grzecznie:

— Sorry, że straszę państwa.

Uprzejmym wampirem był hrabia Ludwik Boliski, Polak, specjalista od tej roli. Reklamował „Dom Drakuli", mrożącą krew w żyłach sztukę wystawioną na Brixton.

Nietoperz hrabia Boliski kierował później ruchem ulicznym na skrzyżowaniu, potem kucnął na niskim balkonie — jakby startował do lotu...

Bez słów.

Rys. Günter Canzler („Eulenspiegel")

Kierownik teatru, mr Garret, szedł trop w trop za hrabią-wampirem i mlaskał z zachwytu:

— Wspaniały człowiek! Napędza nam więcej widzów niż najdroższa reklama.

W poprzednim numerze zamieściliśmy pierwszą część reportażu o „zmartwychwstańcu" w Wieluniu.

CZŁOWIEK O 20 TWARZACH

Fotografował Edward Eiler

Wieluń przeżywał „wielkie dni". Zaginiony przed 42 laty i uznany za umarłego, Ignacy Idaczyk, nagle „zmartwychwstał" i niespodziewanie zjawił się na ulicach rodzinnego miasteczka. Przyjęto go tu radośnie, z zachwytem, jak przystało na gród w którym jest kilka uliczek i aż 5 kościołów i gdzie od setek lat wpaja się ludziom przekonanie że Opatrzność ingeruje w każdy postępek człowieka i nic się nie dzieje bez „woli Bożej". W niespodziewanym powrocie Idaczyka był więc posmak niecodzienności i ingerencji sił nadprzyrodzonych. Jego „zmartwychwstanie" podziałało na wyobraźnię ludzką przyoblekając go w barwy romantycznej legendy.

Uznała przybysza za swego męża — Maria Idaczyk, siedemdziesięcioletnia staruszka. Uznała go, choć nieufność nigdy w niej zupełnie nie zgasła. Jak opowiada dziś — „uznałam go, bo i bracia go rozpoznali, siostra, bo wszyscy mówili, że to mój mąż". Na rozprawie sądowej oświadczyła:

„...Żadne wewnętrzne przekonanie nie wskazywało mi na to, że on jest moim mężem. Nie widziałam w nim męża i czułam do niego wstręt. Nie chciałam jednak, aby ludzie myśleli, że nie przyjęłam go dlatego, że wrócił stary, chory, kaleka".

W tych słowach kryje się cały sens postępowania Marii Idaczyk, żony „zmartwychwstańca". Wystarczy zajrzeć do jej izdebki pełnej ikon, krzyży, schludnej czystości i pobożności — aby zrozumieć, że ta stojąca już nad grobem kobieta przenigdy nie wzięłaby na siebie ciężaru nieprzychylnej opinii miasteczka. Odepchnąć przybyłego, wypędzić go — i żyć potem nawet z cieniem wątpliwości, że może jednak to był on, jej mąż? To byłoby ponad jej siły.

* * *

Miał twarz wytrawnego spryciarza, lisi uśmiech i jakąś ordynarność w zachowaniu się. Nieustannie żądał wódki, a okazji do picia nie brakowało. Czy bez kieliszka może się u nas obyć tak szczęśliwy powrót? Z otwartymi ramionami przyjmowali „zmartwychwstańca" jego sąsiedzi, bracia, krewni i nierzadko na ulicach Wielunia widziano kuśtykającego staruszka otoczonego gromadką innych staruszków, jak wędrował z jednego krańca miasteczka na drugi, od jednej knajpy do drugiej.

Słuchano go z uszanowaniem, ba, z zachwytem. Był przecież człowiekiem, który nie tylko wyjrzał za rogatki Wielunia, ale przewędrował „tyli świat" — Chiny, Rosję, Jamajkę. W opowiadaniach jego niekiedy to i owo jakoś nie pasowało — ale jakże zawodną jest pamięć ludzka? Niekiedy było w tych opowiadaniach coś „niepolitycznego", ale w owej dobie jednemu na rękę były podobne wypowiedzi, inny zaś wierzył z wrodzonej naiwności lub głupoty. Tylko w notatnikach funkcjonariuszy MO pozostały z tych dni króciutkie relacje:

„Ob. Ignacy Idaczyk, który powrócił do Wielunia, wyraża się wrogo o naszym ustroju i o ZSRR...".

„Ob. Ignacy Idaczyk prowadzi rozrzutny tryb życia, pije wódkę i wypowiada się, że za czas 42 lat niewoli w Rosji musi sobie popić, gdyż dużo na życiu mu nie zależy".

Był bez żadnych dokumentów. Z ulgą, pospiesznie, w niespełna pół godziny wydano mu dowód osobisty. Kiedy do wypełnionego interesantami Urzędu Stanu Cywilnego wszedł, aby otrzymać metrykę, a towarzyszyła mu przy tym żona, brat i siostra zawołał:

— Przepuśćcie inwalidę wojennego 42 lata wojowałem...

Rozstąpili się ludzie szmer szacunku i uszanowania towarzyszył każdemu jego krokowi. To przecież on — jak opowiadał — był siedem razy ranny podczas zdobywania Berlina, to on w sztolniach kopalni żył z wyrobu figurek z chleba. W Prezydium MRN wydano mu 150 złotych zapomogi repatriacyjnej, choć nie mógł się okazać nawet najdrobniejszym świstkiem papieru.

— Jak ptaka mnie stamtąd wypuścili — opowiadał.

Iluż ludziom było na rękę wierzyć podobnym słowom?

* * *

To wcale nie takie trudne stać się człowiekiem, którego nie widziano od przeszło czterdziestu lat. Młodsi nie mają prawa pamiętać, w pamięci starszych obraz z tamtych lat pozostaje zamglony; w gruncie rzeczy nikt nie pamięta i jednocześnie nikt nie chce się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Porównajmy zeznania rodziny Idaczyków. Oto co zeznał brat zaginionego, Maciej Idaczyk:

„... gdy wszedłem do mieszkania, zobaczyłem obcego człowieka. Ponieważ już uprzedzono mnie, że mój brat powrócił z niewoli, domyśliłem się, że to właśnie mój brat. Zapytałem: „To ty, Ignac?..." „To ja" — odpowiedział.

I w tym dniu nie rozmawiałem z nim więcej, bo był zmęczony drogą. Rysów twarzy nie rozpoznałem, nie był jednak podobny do mojego brata, ale przecież od tamtych dni minęło czterdzieści lat, ja mogłem zapomnieć, a on mógł się zmienić, miał przecież podobno ciężkie życie...

Następnego dnia znowu poszedłem do swej szwagierki Idaczykowej. Ale Ignac powiedział, żeby go o nic nie pytać, że w niewoli osłabła mu pamięć, bo przeżył straszne rzeczy, był kilkakrotnie kontuzjowany, że nic od nas nie chce, tylko żeby mu dać spokojnie umrzeć w rodzinnej ziemi. Więc go o nic nie pytałem.

Za trzecim razem, a było to już po kilku dniach, przeprowadziłem próbę, aby się upewnić, czy to na pewno Ignac. Poszliśmy na spacer po Wieluniu. Wskazał mi miejsce, gdzie w dzieciństwie graliśmy w piłkę, pokazał dom, w którym żegnał się z nami, gdy odchodził do wojska. Następnie zaprowadził nas — a szliśmy za nim o kilka kroków — do domu, w którym mieszkał nasz ojciec. Aż dziw mnie brał, że prowadzi nas tak pewnie, jakby to było wczoraj... Ale wówczas ostatecznie uwierzyłem, że jest moim bratem".

Zeznanie siostry I. Idaczyka, Janiny Stępińskiej:

„...Kiedy brata mego, Ignacego zabrano do wojska, byłam bardzo maleńka i nie pamiętam go dokładnie. Tego, który się zjawił zapytałam: gdzie się ze mną pożegnał odchodząc na wojnę? Pokazał dom, miejsce. Wtedy uwierzyłam".

Uwierzyli najbliżsi, o powrocie Idaczyka napisała gazeta. Uwierzyło więc i całe miasteczko.

* * *

Niektórzy powiadają, że gdyby Idaczyk nie zjawił się sam, to by go do Wielunia sprowadzono, to by go wymyślono.

Czy nie na rękę był pewnym ludziom człowiek, ba, naoczny „świadek" działalności „bezbożników" i „Antychrysta"? Człowiek, który z powodu podeszłego wieku mógł „prawdy" swoje głosić zupełnie bezkarnie?

Jest przecież coś bardzo zastanawiającego w fakcie, że ten „zmartwychwstaniec" tak szybko „przypomniał" sobie wszystkie szczegóły ze swej młodości? Jakże pewnie, bez cienia wątpliwości i najmniejszej omyłki zaprowadził krewnych za miasto i wskazał, gdzie jest jego pole... A przecież jest więcej niż pewne, że prawdziwy Idaczyk popełniłby w tym względzie niejedną omyłkę, zmienił się bowiem krajobraz, zbudowano szosę, gdzie indziej rosną drzewa, inaczej biegną miedze...

Trzeba było naprawdę dużo złej woli, aby uwierzyć w to „zmartwychwstanie". Ignacy Idaczyk był szewcem. Ten, który powrócił, nie miał o szewstwie najmniejszego pojęcia. Ignacy Idaczyk poszedł do carskiego wojska. Ten, który powrócił i opowiadał o swym 40-letnim pobycie w Rosji, nie umiał ani słowa... po rosyjsku.

A jednak uwierzono. Bo na rękę było wierzyć opowiadaniu „zmartwychwstańca", że tam, gdzie przebywał, na Kamczatce... są sami Polacy. Więc jakże się mógł nauczyć po rosyjsku?

Nie zrodziła się wątpliwość, gdy u rejenta sprzedał ziemię swej żony. Sprzedał ją Antoniemu Modrzejewskiemu za sumę 12 tys. złotych (6 tys. gotówką, 6 tys. w ratach), a ziemia ta warta była 30—40 tysięcy. W zeznaniach Modrzejewskiego wyczytać można, że ziemią Idaczykowej opiekował się od dawna, traktował tę ziemię jak swoją własność do tego stopnia, że obsadził ją drzewkami owocowymi. Dzięki powrotowi Ignacego Idaczyka stał się prawnym posiadaczem tej ziemi, i drzewek, które zasadził.

Idaczyk odszedł. Zeszedł z areny miasteczka, a były to znowu chwile „wielkich dni" Wielunia. Odszedł, gdy jeszcze raz uważnie i do końca przeczytano zawiadomienie wysłane przez Komendę MO w Sieradzu:

„W dniu 4. I. 56 roku z Domu dla Dorosłych w Witowie zbiegł w nieznanym kierunku włóczęga... Podejrzany jest o oszustwa polegające na tym, że chodzi po wioskach i miasteczkach, ustala nazwiska osób zaginionych w czasie działań wojennych i pod nazwiskiem zaginionego podaje się za członka rodziny...".

Powędrował do więzienia. Lecz, o dziwo, aktów prawnych, których nieprawnie dokonał — nie unieważniono, pozostają one wciąż w mocy. I to jest główny przyczynek do wieluńskiej maskarady Ignacego Idaczyka.

Idaczyka? To była tylko jedna z jego twarzy. Miał ich dwadzieścia i czternaście nazwisk. O tym jednak w następnym i już ostatnim reportażu.

ZBIGNIEW NOWICKI

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka".
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł.
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch", Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem „na „Odgłosy".
Druk „Prasa", Łódź, Żwirki 17. Zam. 728. N. 35.000. III. 58. M-4

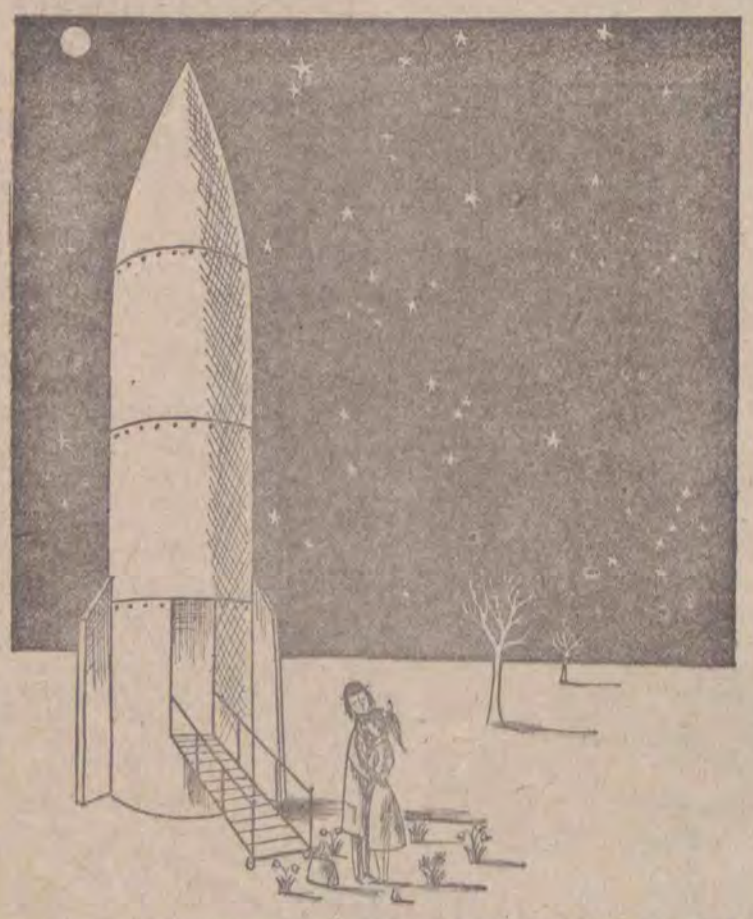

— Kochany, nie zapomnij przysłać pozdrowień, pisanych w świetle księżyca.

HOLLYWOOD JEST BEZTROSKI

„38 dziewcząt siedziało wczoraj w wiedeńskim biurze przyjęć jednej z firm hollywoodzkich i czekało z bijącym sercem na chwilę, kiedy szef, pan Oven Mc Lean raczy je poprosić do siebie. Firma poszukuje młodej, utalentowanej dziewczyny, która by zagrała rolę Anny Frank w filmowej wersji „Dziennika Anny Frank".

Takie ogłoszenia i podobne wzmianki można było przeczytać ostatnio w prasie niemieckiej, francuskiej i holenderskiej. Hollywood wykorzystuje tragedię żydowskiej dziewczynki, która zginęła w piecu krematorium dla aranżowania wyborów na Miss Annę. Kandydatki pozują na miniaturowe Monroe, mają wyszminkowane wargi, podgolone brwi, noszą obcisłe spodnie i dostrajają się do poziomu Pin-up-girl. Podobieństwo do Anny Frank zewnętrzne czy duchowe nie jest pożądane.

Brak smaku należy do praw zastrzeżonych Demokracji. Nie można mieć nic przeciwko zamiarowi sfilmowania „Dziennika Anny Frank". Należy się jednak obawiać tego, co fabrykanci znów zechcą zrobić z tragicznych losów żydowskiej dziewczyny. Pan Mc Lean oświadczył, że dwie czternastoletnie dziewczynki, jedna Wiedenka, druga z Amsterdamu mają pewne szanse. Pisma donoszą, że obie wystawione są na ogromne przeżycia, ponieważ konkurentki nie zrezygnują bez walki z nadającej się szansy zrobienia wielkiej kariery filmowej. To wszystko w imieniu zamordowanej, która szukała tylko jednej szansy: pozostania przy życiu.

WIEŻA W PIZIE BĘDZIE STAŁA JESZCZE TYLKO PRZEZ DWA WIEKI

Krzywa wieża w Pizie, słynny zabytek architektury średniowiecznej będzie jeszcze stała z górą 200 lat — orzekli zgodnie rzeczoznawcy włoscy. Co roku wieża pochyla się przeciętnie o dalsze 0,7 milimetra. W ub. roku cyfra ta wyniosła aż 1,7 milimetra.

W celu zapobieżenia zapadaniu się błotnistego podłoża dokonano już „zastrzyków" w postaci 90 ton cementu.

Obecnie inżynierowie włoscy przeprowadzają badania jakościowe gleby i spodziewają się mimo wszystko znaleźć jakieś środki zaradcze.

jm.

ZAPOWIEDZI

Komitet Premii Leninowskich podał do wiadomości listę dzieł zgłoszonych przez poszczególne organizacje kulturalne ZSRR do otrzymania premii leninowskiej. Oto kandydatury dzieł traktujących o współczesności w dziedzinie malarstwa i sztuk plastycznych.

Baburin — „Pieśń na ugorach" — rzeźba.

S. Gerasimow — „Za władzę rad" — cykl pejzaży.

S. Kiriczenko, S. Klein — „Urodzaj" — mozaika.

W. Kłokow — „Brygadzistka" — rzeźba.

I. Litowczenko — „Ukraina w rodzinie bratnich republik" — gobelin.

D. Naubandian — „Bohater pracy socjalistycznej — dojarka F. Paszenkowa" (Sowchoz Gorki II) — obraz.

A. Płastow — „Sierpień kołchoźnika", „Gdy pokój na ziemi", „Dziewczynka z rowerem", „Zbiór kartofli" — obrazy.

JAKIE KSIĄŻKI SĄ NAM POTRZEBNE, CZYLI CZYTELNIK CHCE CZYTAĆ SAMEGO SIEBIE

Jean Cocteau w swojej wypowiedzi na temat: czytelnik chce czytać samego siebie — powiada: „Pisanie — kto wie, co to właściwie jest. Paramy się piórem i atramentem, aby stać się zrozumiałymi. Czytanie to, co innego. Czytam, albo zdaje mi się, że czytam. Przy powtórnym czytaniu stwierdzam, że właściwie nic nie czytałem. Czytelnik chce czytać samego siebie. Kiedy książka przypada mu do przekonania, wierzy, że mógł ją sam napisać. Posuwa się nawet dalej, dodaje do książki to, co nie zostało powiedziane, jest przekonany, że mógłby powiedzieć to lepiej. W sanatorium gdzie przebywałem długi czas, słyszałem z ust chorego na gruźlicę sąd o „Czarodziejskiej górze" Tomasza Manna: „Taką książkę można zrozumieć tylko wtedy, kiedy się samemu choruje". A przecież Tomasz Mann pisał ją nie będąc chorym.

Właściwie my wszyscy jesteśmy chorzy i chcemy czytać tylko te książki, które mówią o naszej chorobie. Stąd powodzenie różnych historii miłosnych, ponieważ każdy z nas uważa się za wybranego, który wie co to jest miłość. Książki chcą nas czasem przekonywać, czasem przysłuchują się czytelnikowi i przytakują mu. Kiedy się czyta Balzaca mówimy: „Tak, to przecież mój wujek, a to ciotka, a to pani X, to moje strony rodzinne". Przy Dostojewskim mówimy: „To jest mój niepokój, mój ból, o którym najbliższe mi otoczenie nie ma najmniejszego pojęcia".

CHWAŁA MU!

Gdzieś w sierpniu czy wrześniu 1957 roku przeżyliśmy okres Wielkiej Odnowy. Mianowicie, odnowiono lokal Klubu Związków Stowarzyszeń Twórczych malując go na uroczy brudnobiały kolor i starannie na widocznym miejscu ustawiając bufet.

I jeszcze narzekamy na środowisko kulturalne w Łodzi! A czyż nie można co wieczór spotkać w Klubie pana X, pana Y, pana Z przyjacielsko stojących obok lady? A czyż nie widzi się przy stolikach rozgorączkowanych (ogniem dyskusji estetycznej) panów A. B. i C? A czyż pan N. nie zrobił wczoraj awantury w szatni?

Tak więc wyrabiają się tradycje. Wprawdzie kierowniczka bufetu oświadcza, że woli wrócić do „Słonia" ponieważ w „Słoniu" publiczność zachowuje się o wiele kulturalniej, ale — mamy Klub. Gazet w tym Klubie nie mamy, prasy literackiej nie mamy, imprez artystycznych nie mamy, dyskusji estetyczno - filozoficznych nie mamy, odczytów nie mamy, mamy za to antypatyczne, nieprzytulne i nieestetyczne dwie sale, kilkanaście stolików przykrytych niepierwszej czystości obrusami, jeden fortepian i dwóch kelnerów. Mamy Klub!!!

A Zarząd Klubu? — Podobno w jego skład wchodzą plastycy, filmowcy, artyści, dziennikarze a nawet historycy sztuki. Lecz dotychczasowy prezes, osoba zresztą ogromnie sympatyczna, piastował w ub. roku jeszcze 21 innych funkcji. Cieszy nas jednak, że przynajmniej zawsze dopilnowywał zaopatrzenia Klubu w alkohol. Chwała mu!!!

ATLANTIC MONTHLY LICZY SOBIE STO LAT

Atlantic Monthly, amerykański miesięcznik literacki obchodził niedawno setną rocznicę istnienia. Został on założony w Bostonie w roku 1857, między innymi przez Henry Wardsworth Longfellow'a i Ralpha Waldo Emersona. Jubileuszowy numer przyniósł prace Roberta Frosta, bardzo popularnego poety amerykańskiego, Thorton Wildera, Ernesta Hemingwaya i innych. Mój Boże, żeby to tak u nas można wydawać sto lat jedno pismo!

KAFKA I BARRAULT

Teatry paryskie sprawiły mi pewne rozczarowanie. Podziwiałam tradycyjny wdzięk i tradycyjną kulturę Comedie Francaise i nie kończącego się szeregu innych scen, z teatrem Villard'a na czele, nie mniej raził mnie widoczny brak pasji odkrywczej w reżyserii, scenografii i aktorskiej interpretacji.

Naturalnie świat teatralny Paryża, to świat, którego poziom ukształtowały wieki i np. przeciętna kultura aktora jest niewątpliwie wyższa niż u nas, ale ten obecny stan rzeczy teatr zawdzięcza nie tyle współczesnemu pokoleniu, ile swojej wspaniałej przeszłości.

Pomijam tu póławangardowe sceniki w nocnych lokalikach (zresztą takiej czystej awangardy jak w naszych piwniczkach nie spotkałam nigdzie!). Najbardziej zasługującym na zainteresowanie jest Teatr Sary Bernhardt, prowadzony obecnie przez Jean Barrault'a, który niegdyś sporo się przyczynił do spopularyzowania mody egzystencjalizmu.

W roku 1947 Barrault wystawił „Proces" Kafki, adoptowany na scenę przez samego Andre Gide'a. „Proces" odniósł wielki sukces, nie tylko w Paryżu, lecz także w New Yorku, Buenos Aires, Rio de Janeiro itd. Ludzie podzielili się na zwolenników i przeciwników Kafki (jak wiadomo jednego z ojców egzystencjalizmu), zawrzały dyskusje kawiarniane i prasowe.

Teraz po latach dziesięciu, gdy egzystencjalizm stał się stylem tak myślenia jak i ubierania — Barrault wystawia drugie, wielkie dzieło Kafki „Zamek".

O ile w „Procesie" pisarz ukazał człowieka jako podmiot oskarżony i sądzony za niewiadomą winę przez świat naturalny i nadnaturalny, to w „Zamku" wizja ludzkiej rzeczywistości posiada cechy jeszcze bardziej groteskowej absurdalności. Od wniosku całkowitej bezsensowności istnienia ratuje sztukę przesycający ją liryzm.

Barrault nazywa „Zamek" dramatem łaski lub dramatem powołania. Losy ludzkie biegną tak a nie inaczej, gdyż niektórzy zostają wyróżniani przez „Księcia" istniejącego w zaświatowym „zamku", inni — pomijani.

To metafizyczne pojęcie „łaski" w okrutnym obrazie rzeczywistości także i tej nadnaturalnej — w której nie istnieją zasady jakiejkolwiek moralności —tworzy dzieło o niezwykłej sile napięcia.

Szekspir umiał uchwycić wieloznaczność losu ludzkiego w swojej epoce, Kafka jest Szekspirem dnia dzisiejszego — stwierdza w swej wyobraźni Barrault.

Dramat ten oglądałam dwukrotnie nie tylko ze względu na jego wartość literacką, lecz także z powodu wielkiej sztuki aktorskiej i reżyserskiej sławnego Jean-Louis Barrault'a.

Przyznam się, że obserwując przebieg spektaklu, częściej mi się zdawało, że dostrzegam w nim walkę dwóch tak silnych osobowości jakimi są Kafka i Barrault, niż harmonię twórczych wysiłków obojga.

Barrault nadmiernie zdynamizował postać bohatera. Spazmatycznie rzucający się, wijący człowieczek różnił się bardzo od biernej aktywności innych postaci Kafki. Sensualizm utworów praskiego pisarza jest zawsze przejrzystą zasłoną wyostrzającą raczej niż zakrywającą drugi plan filozoficznego sensu dzieła. W koncepcji Barrault'a erotyzm scen był tak jaskrawie podkreślany, że tak jak w „Pieśni nad pieśniami", trudno jest naprawdę odbiorcy uwierzyć w istnienie znaczenia „innego".

Podziwiałam więc Kafkę dla Kafki, Barrault dla Barrault'a, scalić ich wysiłku w jedno wrażenie nie mogłam.

Niemniej wystawienie „Zamku" jest naturalnie wydarzeniem w naszej europejskiej kulturze. Spektakl taki nasycony twórczą pasją stanowi probierz zawartości współczesnej myśli.

Gra aktorów bez zarzutu, szybka, błyskotliwa, inteligentna — sam Barrault przemożny w swojej indywidualności, a więc także czasem męczący.

Raziła mnie za to scenografia. Ekspresjonistyczna w złym przeżytym od dawna stylu, secesyjna, nie wykorzystująca żadnych zdobyczy sztuki nowoczesnej, tzn. ani kubizmu, ani surrealizmu, ani abstrakcjonizmu a poza tym podobnie jak w większości teatrów francuskich, służąca i poddana całkowicie dramatowi jako dziełu literackiemu. Nie uważam, żeby tak często spotykane w polskich teatrach, organizowanie dekoracji na zasadzie plastycznych zagadnień, oderwanych od zawartości dramatu, było słuszne, ale taki kompletny brak samodzielnych ambicji scenografa jaki najczęściej spotyka się w Paryżu, nie jest na pewno zjawiskiem pozytywnym.

Istota zagadnienia jak zwykle tak i tu ukrywa się przed nami. Gdzież ją znaleźć? — No, cóż, próbujmy jej szukać.

W Paryżu Barrault wytrwale depcze po jej śladach.

ANNA POGONOWSKA

Jean-Louis Barrault

500 TEATRÓW ZAWODOWYCH W ZSRR

Na terytorium dawnej Rosji carskiej przed Rewolucją Październikową było około 150 teatrów. Pod koniec 1957 r. w ZSRR było już 509 teatrów, z tego 499 powiązanych przez Dyrekcję Generalną Teatrów z Ministerstwem Kultury oraz 10 teatrów powiązanych bezpośrednio z poszczególnymi resortami: Transportu, Obrony Narodowej, Oświaty (Teatr Obrazcowa) i innymi.

jm.

FIGA Z MAKIEM

ANEGDOTY RIVAROLA

Żyjący w drugiej połowie XVIII wieku polityk, satyryk, publicysta Rivarol, zasłynął ciętymi powiedzeniami. Oto niektóre z nich:

Pewien głupiec chwalił się, że zna cztery języki.

— Ach tak! — powiedział Rivarol. — Masz pan tedy cztery wyrazy na jedno głupstwo, winszuję!

* * *

Ludzie nie są tak twardego serca, jak pan sądzisz. Pisałeś przez kilka lat swą książkę, oni zaś przebaczyli i zapomnieli o wszystkim, w jednej chwili.

* * *

— Mówiłeś pan tak długo z tym nudziarzem?

— Mówiłem, by nie słuchać.

* * *

Manette, przyjaciółeczka jego, była świeża, ale głupiutka. Pewnego dnia zasłabła i zaraz zaczęła się troskać o to, jaki ją los czeka na innym świecie.

— Nie bój się — uspokoił ją — dam ci list polecający do pokojówki Moliera.

* * *

Pewna dama prosiła dorobkiewicza o przysługę, gdy zaś odmówił, powiedziała:

— Posiadasz wszystkie ujemne cechy każdego wielkiego pana.

Uzyskała w ten sposób spełnienie swych życzeń.

* * *

Na wieść, że arcybiskup Tuluzy otruł się, powiedział:

— Musiał połknąć którąś ze swoich maksym.

* * *

Ludwik XV spytał jednego z dworzan:

— Która godzina?

— Wedle rozkazu, sire! — odparł służbiście.

* * *

Rivarol przewidział Napoleona jeszcze w r. 1790.

— Pytano mnie — powiadał — jaki będzie miała przebieg rewolucja. Odpowiedziałem:

— Albo król będzie miał w ręku armię, albo armia króla. Wypłynie niezawodnie na powierzchnię jakiś dzielny żołnierz. Przykłady: Sylla, Cezar, Cromwell...

* * *

O pewnym uczonym, który miewał w Hamburgu odczyty, skąpo uczęszczane, powiedział raz:

— On ma odźwiernego nie po to, by wpuszczał słuchaczy, ale po to, by ich nie wypuszczał z sali.

* * *

Chamfort powiedział do Rivarola, który mu polecił pewnego młodzieńca:

— Przyjaciel pański nie posiada żadnego obycia w świecie i nie wie nic a nic!

— A jednak — odparł Rivarol — jest taki smutny, jakby wiedział wszystko!

* * *

Kiedy niepopularny książę Orleański został w roku 1778 wygnany z Paryża, opinia publiczna zwróciła się doń ponownie z pewną życzliwością.

— Wbrew prawom optyki — powiedział o nim Rivarol — staje się większym, w miarę oddalania.

* * *

Kiedy jeden z przeciwników napisał o nim złośliwy artykulik — powiedział Rivarol:

— Dał mi kopniaka kopytem, w którym trzyma pióro.

* * *

Pytano Rivarola, czemu niemal zupełnie przestał bywać w świecie.

— Ach — odparł — kobiet nie kocham już, a mężczyzn znam na wskroś.

BEZ KOMENTARZA

Grzebałem ostatnio w starych papierach mojej biblioteki. Jakieś pisma sprzed lat, zapomniane, ostygłe, wytarte. Wyciągnąłem kilka numerów dwutygodnika „Moja Przyjaciółka", rok 1939. Cena 80 groszy miesięcznie. Oczywiście tamte 80 groszy, przedwojenne. W dziale ogłoszeń przeczytałem trzy ogłoszenia, które bez żadnych zmian przepisuję: 1) Apel. Czy naprawdę nie ma w Polsce współczujących serc? Po dziesięciu latach wracałam do niej, jak do rodzonej matki, ufając, iż wśród swoich nie zginę. Choroba uczyniła mnie wrażliwą na zimno. Błagam współczujące dusze o ciepłą odzież i obuwie. (Nr 37). Na życie i mieszkanie dwóch osób zarabiam trykotami ręcznymi. Jeśli już nie ja, to moja wychowanka w przyszłości zrewanżuje się bliźniejszym. Prosiłabym o ciepły płaszczyk dla dziewczynki ośmioletniej. Przepraszam, że ośmielam się apelować powtórnie do serc prawdziwie chrześcijańskich. Łaskawie nadsyłać ofiary do redakcji „Mojej Przyjaciółki" dla

Reemigrantki

2) Kto doda otuchy? Pragnęłabym, aby tą drogą córka moja znalazła jakąś solidną i przyjazną duszę, która by rozjaśniła jej samotność i dodała otuchy do życia i pracy. Jest ona bardzo wartościowym człowiekiem, nauczycielką, idealistką, cichą, prawą i subtelną, walczącą z ogarniającym ją pesymizmem i zniechęceniem, spowodowanym warunkami w jakich pracuje. Zapadła wieś, zimna klasa w izbie chłopskiej, 67 dzieci, brak pomocy szkolnych, które uzupełnia z własnych funduszy. Duszę oddałabym za to, aby jej było weselej i lżej na świecie. Adresować do redakcji dla

„Marysi H."

— O, satelita. To powinno przyciągnąć klientów.

3) Apel. Mam maleńką dziewczynkę 10-miesięczną, której zdrowie wymaga spożywania owoców. Prosiłabym o przesłanie, choć małej ilości jabłek. Nie mam za co ich kupić, dopiero w lecie zapłaciłabym — o ile możności — jak najszybciej. Byłabym bardzo wdzięczna za tę pomoc dla małej. Przesyłkę proszę uprzejmie przesłać do redakcji dla

„wdzięcznej Z.

Ze starych romansów

LORD NELSON DO LADY HAMILTON

Amy Lyon — bo tak się naprawdę zwała Lady Emma Hamilton — zaprawdę nad kołyską nie śpiewano, że kiedyś będzie przyjaciółką Marii Karoliny, królowej Neapolu, żoną angielskiego posła Hamiltona i ideałem admirała Nelsona, bohatera spod Trafalgaru!

Urodziła się w r. 1761 w domu biednych rodziców, a kiedy dorosła, poczęła iść z rąk do rąk... W domu lorda Greville, którego była utrzymanką, poznał ją sir William Hamilton, poseł Brytanii w Neapolu — i poślubił. Lady Emma Hamilton odegrała w świecie politycznym Neapolu wybitną rolę; była spiritus movens niejednego zdarzenia na arenie politycznej. Ponadto przejawiła się jako subtelna artystka, zajmowała się głównie wskrzeszeniem antycznej plastyki mimicznej. Urządzała słynne pantominy i setki malarzy ubiegało się, by rysować i malować słynną artystkę, zwłaszcza w roli Nioby.

Po powrocie z Egiptu w r. 1798 poznał ją Nelson. Zapłonął miłością i — zabrał Hamiltonowi. Urodziła mu córeczkę. Stała się tym droższą. Odnosił się do niej z niezwykłym uszanowaniem, mimo iż przecież znać musiał jej przeszłość...

Wzruszający jest list Nelsona, list ostatni, rozpoczęty na dwa dni przed bitwą koło Trafalgaru. Znaleziono go po jego śmierci na jego biurku. Gdy go przyniesiono Emmie, dopisała

O miserable, wretched Emma!
O glorious and happy Nelson!

Listy Nelsona są zawarte w wydawnictwie: Douglas Sladen. Lord Nelson Letters to Lady Hamilton. London. 1905. Historię lady Hamilton znamy z filmu wyświetlanego niedawno na naszych ekranach.

26 sierpnia 1803.

Moja najukochańsza Emmo! Przez „Canopus'", admirał Campbell, otrzymałem wszystkie Twoje zaprawdę miłe i tkliwe listy od 20. maja do 3. lipca. Były to pierwsze wiadomości, które otrzymałem z Anglii, odkąd odpłynęliśmy. Wszystkie Twoje listy, moje drogie listy, są tak zajmujące i opisują w tak miły sposób Twe życie codzienne, iż sprawiają zarówno największą radość, jak i największy ból. Bawić w Twem pobliżu jest przecież najlepszem z wszystkiego.

Życzę sobie tylko, moja najdroższa Emmo, abyś zawsze była przekonana, że Nelson jest Twoim; alfą i omegą Nelsona jest Emma! Nie może być inaczej; moja przychylność i moja miłość przekraczają ramy tego świata. Nic nie może nimi wstrząsnąć, chyba Ty, lecz, by w to choćby na chwilę uwierzyć, nie jestem w stanie.

Czuję, że Ty naprawdę jesteś moją przyjaciółką i że jesteś mi droższą nad własne życie i że tem samem jesteś dla Ciebie...

...Ten list zastanie Cię w naszem kochanem Merton; tam kiedyś będziemy ze sobą razem żyli i naprawdę będziemy szczęśliwi.

Nie sądzę, że wojna będzie długo trwała, wierzę że będzie krótsza, niż się powszechnie sądzi... Czas migiem upłynie, aż będę miał niewymowne szczęście przybyć do Merton. Już na myśl o tem drżą moje nerwy; bo moja miłość ku Tobie jest bezgraniczna jak ocean!

„Victory", 19. października 1805 r. W południe. Cadiz 050.16 mil.

Moja najdroższa, ukochana Emmo, moja serdeczna przyjaciółko!

Sygnał jest dany, iż połączona flota nieprzyjacielska wypada z zatoki.

Mamy bardzo mało wiatru, tak iż nie mam nadziei ujrzenia nieprzyjaciela przed pojutrzem. Oby Bóg bitew ukoronował moje zamierzenia powodzeniem! Na wszelki sposób będę się starał, by moje nazwisko było drogie dla Ciebie i naszej Horacji — obu istot, które więcej miłuję niż własne życie i jak ostatnie słowa, które piszę przed bitwą, są do Ciebie zwrócone, tak spodziewam się od Boga, iż pozostanę przy życiu, aby po bitwie dokończyć list.

Oby niebo Cię wspierało, o to modli się Twój

NELSON

Rankiem 20. października byliśmy tuż u wyjścia z cieśniny, lecz wiatr nie dość na zachód poszedł, by złączonym flotom pozwolić naprzeciw kierunku wiatru przeżeglować koło głębin Trafalgaru; dojrzano 40 okrętów wojennych, z których według mego mniemania jest 34 liniowców i 6 fregat. Jedną eskadrę dziś rano spostrzeżono przed latarnią morską Cadiz, lecz wiatr był tak silny, iż sądzę, że przed nastaniem nocy wrócą do portu.

Oby wszechmogący Bóg udzielił nam zwycięstwa nad tymi ladacami i dopomógł nam do uzyskania pokoju!

Plac Reymonta przed stu laty

WIDOKI STAREJ ŁODZI

Litografia W. Walkiewicza z 1853 r. Końcowy fragment „ulicy" Piotrkowskiej — ówczesnego traktu fabrycznego Łodzi z odcinkiem dawnego Górnego Rynku. Rynek ten zwany też rynkiem Geyera (tu stała fabrykancka karczma) — zamykał główną oś handlowo-przemysłową w XIX wieku. W obecnym stuleciu oś ta przesunęła się nieco na południe do dawnych placów Leonarda, a obecnie (od 1945 r.) zamyka ją Plac Niepodległości.

W pobliżu stoi pierwszy pałacyk — dworek Geyera, wzorowany na szlacheckich dworkach z naszego regionu; odrestaurowany po ostatniej wojnie w 1951 r. Cały ten kompleks budynków geyerowskich tworzył w Łodzi rodzaj oddzielnej osady przemysłowej, rozbudowanej po 1866 r.

Na pierwszym planie — okazały klasycystyczny budynek filii warszawskiego Banku Polskiego (do dziś zachowany — po przebudowie na dom mieszkalny).

Środkową pozycję zajmuje jedna z wielu charakterystycznych latarni, jakie ciągnęły się od Starego Miasta, poprzez Nowy Rynek, Piotrkowską ku Górnemu Rynkowi.

ZDZISŁAW KONICKI

ALINA GRABOWSKA

ZA SCENĄ i W... garderobie

No i rozgorzała w Łodzi święta wojna! Oprócz oznak takich, jak kometa na niebie, pojawiły się jeszcze inne, świadczące o tym, że niezadługo zostaną odkopane topory ze ścieżek wojennych. Więc przede wszystkim — nie wiadomo w jaki sposób, narodziła się opinia, że „prasa w 1957 roku" wykończyła aż czterech dyrektorów. Mianowicie: dyr. Chojnacką, dyr. Chaberskiego, dyr. Winieckiego (z operetki) i dyr. Sikiryckiego (Teatr Satyry). Węszono jakiś zakamuflowany front „zjednoczonej prasy łódzkiej", która przyrzekła sobie solennie tępić dyrektorów, wybitnych aktorów, zdolnych reżyserów, utalentowanych scenografów itd.

Co prawda, sami „wykończeni" absolutnie nie uważali się za „wykończonych" i utrzymywali jak najlepsze stosunki z „wykończającymi", ale były to jednak pierwsze objawy wojny.

Pewien aktor Opery oświadczył publicznie, iż:

po pierwsze — zastrzeli krytyka, który zatruwa mu życie,

po drugie — wyprowadzi się z Łodzi.

Drugą groźbę uznano za poważniejszą, wobec czego krytyk przestał w ogóle oceniać grę impetyka. Oznaki nieprzyjaźni zaczęły się szybko mnożyć. Aktor Teatru Powszechnego powiedział do młodego recenzenta teatralnego: „Gdyby nie my, krytycy nie mieliby z czego żyć", dając tym samym do zrozumienia, jak wiele młody krytyk mu zawdzięcza. Zaś znany w Łodzi organizator widowni PMK na prośbę dziennikarza o bilety recenzyjne oświadczył: — Biletów nie dam, żadne recenzje nie są mi potrzebne, bo całą widownię mam już sprzedaną.

Przemiły Konrad Łaszewski z Teatru Jaracza ilekroć spotkał krytyka na ulicy oświadczał z pogodnym uśmiechem: „Co Waść piszesz, wszystko głupio". I tak burzyły się umysły, gorzały serca.

Wreszcie wojna została ogłoszona. Święta wojna teatrów przeciwko prasie! Wyliczono dokładnie jakie kto ma z kim kontakty, kto kogo i dlaczego faworyzuje, a kto przez to i dlaczego cierpi. Zaprotestowano gdzie trzeba.

Konni harcownicy ruszyli w bój.

A oto cytat z dzieła Sandauera pt. „Bez taryfy ulgowej" („Życie Literackie" nr 1/311):

„Nie napisana dotąd historia tandety w Polsce wykazałaby zapewne jak bardzo za szybkie wyczerpywanie się naszych pisarzy, odpowiada owa moralistyczna krytyka, która chwaląc raczej dobre intencje niż wykonanie — nakłania ich do łatwizny".

A propos krytyki udającej opinię publiczną. Przyjechał do Łodzi węgierski reżyser pan Laszlo Kertesz. W myśl hasła: „Pola'k, Węgier dwa bratanki" pragnął zapoznać się z życiem teatralnym polskiego Manchesteru. Proponujemy mu Teatr Powszechny (Cyd, nowy dyrektor, piękny pies — własność żony dyrektora itp.).

— Nie.

— A może Teatr Jaracza? (Szekspir, Bardini, Zofia Petri).

— Nie.

— Może coś z muzyki? (Opera, operetka, Filharmonia).

— Nie.

— Dlaczego?

— W Warszawie powiedzieli, że do Łodzi warto przyjechać tylko po to, żeby porozmawiać z Dejmkiem.

Ładnie nas w tej Warszawie traktują, nie ma co! Ot, wioseczka z przycupniętymi słomianymi strzechami i z jednym, ale za to wystrzelającym w niebo pałacem. O tym, że taką się właśnie urabia opinię o Łodzi świadczy znany artykuł w stołecznym „Expressie Wieczornym" zatytułowany: „Z wizytą u Dejmka" gdzie „stoi napisane": „W Łodzi jest siedem teatrów, w tym sześć za dużo"!

Cóż tedy mają robić inne teatry łódzkie, w czambuł potępiane i stawiane do kąta? „Cyplionek toże choczet żyć". Ale i łodzianie są pomysłowi. Jeżeli Warszawa nie chce do nas przyjeżdżać dla sztuki, to będzie przyjeżdżać dla pieniędzy. Ten sposób na Warszawę okazał się skuteczny.

Oto nagle zaroiło się u nas od warszawskich reżyserów, scenografów, aktorów itp. W Teatrze Muzycznym scenografię „Kiss me, Kate" mają robić Zahorscy, a „Ucieczkę do szczęścia" Dostala będzie reżyserował dyr. Szpakowicz z warszawskiej „Komedii". Zaangażowano szereg artystów ze stolicy (Szczawińska, Joniak), zapewniono gościnne występy innych. W Teatrze Jaracza „Henryka IV" reżyserował Aleksander Bardini, a „Huzarów" w Powszechnym — Wanda Laskowska. Co rusz to jakiś reżyser z Warszawy przyjeżdża. Rodowici łodzianie z płaczem oglądają owo pompowanie lokalnych pieniędzy, ale w sumie się opłaci — nareszcie ruch w łódzkich teatrach!

Nie należy aż do znudzenia posługiwać się łodzianami skoro w Warszawie rosną nowe kadry.

Najlepszy dowód, że program do „Henryka IV" redagował „Edward Csato: Rzeczywiście, nikt w Łodzi nie mógł się podjąć tej odpowiedzialnej pracy.

★ FRASZKI ★ FRASZKI ★ FRASZKI ★ FRASZKI

HORACY SAFRIN

O PŁOCHLIWEJ MUZIE

Znany autor, co sztuki schematyczne pisze,
zaczął tworzyć miłosną rzecz pewnego ranka.
Nic nie wyszło, więc jęknął: „Przebóg, towarzysze!
Melpomena, to bardzo płochliwa kochanka..."

O WIERSZACH POETY N.

Znajdziesz w nich giętkość, banał z ckliwą łezką.
Po prostu: lipę. (Lecz nie czarnoleską).

RYSZARD DOROBA

CZYSTOŚĆ

Użycza miednicy
całej kamienicy.

KAROL DUSZA

PRAWO AKCJI I REAKCJI

Bóstwa kładzione pokotem
Podnoszą się — z błotem.

„DOM KSIĄŻKI"
ANTYKWARIAT
ŁÓDŹ, ul. Piotrkowska 133 tel. 327-82
– posiada duży wybór książek z wszelkich dziedzin wiedzy,
– prowadzi zakup, komis, sprzedaż książek antykwarycznych
– nabywa pojedyncze egzemplarze oraz księgozbiory

KSIĘGARNIA „PEGAZ"
ŁÓDŹ, Piotrkowska 47/49 tel. 312-11
– jest bogato zaopatrzona w nowości wydawnicze z różnych działów literatury,
– wysyła na zlecenie klientów książki za granicę do wszystkich krajów.
BLIŻSZE INFORMACJE TELEFONICZNIE
944-K

Piekło kobiet (II)

MARTWY

Do lokalu Pogotowia Ratunkowego przywieziono młodą kobietę. Nad prawą dłonią miała przeciętę żyły. Rany spowodowane były wybiciem szyby w oknie, przez które kobieta uciekała z domu przed pijanym do nieprzytomności mężem. Pijak groził jej zabiciem siekierą. Pierwszej pomocy udzielono nieszczęśliwej w Domu Dziecka, dokąd uciekła zbroczona krwią. Stamtąd młodzi wychowankowie Domu przywieźli ją do Pogotowia. Kobieta była u kresu wyczerpania fizycznego i nerwowego, nie chciała jednak zostać w szpitalu Pogotowia. W domu zostawiła pięcioro dzieci, z których najstarsze miało 7 lat, najmłodsze 3 miesiące.

„JAKBY GO ZAMKNĘLI, Z CZEGO BYM ŻYŁA...?"

Nie mogłam sobie wyobrazić jej powrotu do domu. Zadzwoniłam do Komisariatu Milicji, prosząc o jakiekolwiek zabezpieczenie matki i dzieci przed napaścią pijaka. W komisariacie wiedzieli, o kogo chodzi. Niejeden raz interweniowali. Rozmawiając z kobietą, która zwierzała się ze swojej wieloletniej tragedii, zapytałam, dlaczego nie skorzysta z opieki prawa, czemu nie złoży skargi do Prokuratora. Obowiązuje przecież ustawa antyalkoholowa, której art. 10 mówi: „Kto w stanie nietrzeźwości znęca się fizycznie i moralnie nad członkiem swojej rodziny lub osobą pozostającą w stosunku zależności od sprawcy, podlega karze więzienia do lat 5".

— Broń Boże! Niech pani o tym nie mówi, on pracuje w cegielni i zarabia 2 tysiące złotych, to zawsze coś wydrę dla dzieci. Jakby go zamknęli, to z czego bym żyła, do pracy nie mogę pójść, bo nic nie umiem, a zresztą, co ja bym zrobiła z pięciorgiem dzieci..."

Prawda. Cóż by zrobiła? I cóż by zrobiły tysiące innych kobiet maltretowanych razem z dziećmi przez mężów-pijaków, gdyby wyrok sądowy położył kres ich męczarniom przez umieszczenie mężów w więzieniu? Troska o codzienny kawałek — często suchego — chleba, stanowi naturalną ochronę dla pijaków ze strony maltretowanej rodziny. Ustawowy przywilej otrzymywania zarobków męża-alkoholika bezpośrednio z instytucji, która go zatrudnia, nie rozwiązuje sprawy. Ileż bowiem na tym tle występuje powikłań rodzinnych, ileż jest wypadków rzucania pracy i porzucania rodzin? W każdym niemal razie nie ochroni taki stan przed dokuczaniem lub wręcz maltretowaniem „wrogów", za jakich każdy alkoholik uważa własną żonę i dzieci

ALKOHOLICY I NĘDZA ICH RODZIN

Statystyka mówi, że w Polsce mamy 500 tysięcy nałogowych alkoholików. Typowe „optymistyczne przegięcie" w dół. Nieoficjalnie mówi się o całym milionie. W samej Łodzi Komitet Antyalkoholowy zarejestrował od lipca ub. r. 1500 alkoholików. Rejestracja ta, zdaniem przewodniczącego Komitetu, obejmuje najwyżej dziesiątą część wszystkich alkoholików naszego miasta. Jaki procent tych wykolejeńców (pamiętajmy, że z alkoholizmu wynika gros przestępstw) trafia na wokandę sądową z tytułu art. 10 ustawy antyalkoholowej? Znikomy procent. Do sądów powiatowych poszczególnych dzielnic Łodzi wpływa miesięcznie 5—8 spraw, ale rzadko która kończy się wyrokami.

Od chwili wejścia w życie ustawy antyalkoholowej, do lutego 1957, a więc w okresie przeszło półrocznym zakończono prawomocnie 629 spraw na terenie całego kraju. W 426 przypadkach zapadły wyroki skazujące, w 106 przypadkach uniewinniające, a w 97 umorzono postępowanie. Wysokość kar w wyrokach przedstawia się następująco: 158 osób otrzymało najniższy wymiar kary — 6 miesięcy do 1 roku, 42 osoby powyżej roku do dwóch lat, a 4 osoby powyżej 2 lat.

W 181 przypadkach na utrzymaniu oskarżonych było 1—2 dzieci W 112 przypadkach po 3 dzieci, w 121 przypadkach po 4 i więcej dzieci. Tylko 12 osób skazanych nie miało na utrzymaniu dzieci. A trzeba pamiętać, że wiele rodzin krzywdzonych przez ojców posiada nawet 6 dzieci. A teraz popatrzmy jak odbija się alkoholizm ojców na materialnym położeniu ich rodzin: 22 proc. skazanych uchylało się od pracy w ogóle lub pracowało tylko dorywczo, 63 proc. skazanych w ogóle nie łożyło na utrzymanie swojej rodziny lub dawało bardzo niewiele, 22 proc. skazanych sprzedawało na wódkę różne przedmioty gospodarstwa domowego lub osobistego użytku. W wielu przypadkach zjawiska te występowały łącznie u jednego sprawcy.

„NATURALNY" SZANTAŻ

Jak w tej sytuacji materialnej rodzin postępować mają sądy? Jeżeli tylko istnieje nadzieja, że oskarżony będzie chociażby w minimalnym stopniu łożył na utrzymanie rodziny, sądy stosują warunkowe zawieszenie wykonania kary z obawy przed nędzą rodziny. (Obecne przepisy, przewidujące potrącenia określonych sum z zarobków więźnia pracującego, nawet w minimalnym stopniu nie zabezpieczają potrzeb rodziny skazanego). A skutek?

Nad skazanym wisi co prawda niczym miecz Damoklesa groźba „odwieszenia" kary w momencie, kiedy wpłynie meldunek o nowym

RZECZY ZMYŚLONE

MARIAN PIECHAL

GDZIE JEST WAZELINA?

TYLKO DLA NAIWNYCH!

Dziwne jakieś miasto jak z mgły. I domy jak z mgły. I ulice jak z mgły. I sam ruch na ulicach jak z mgły. Ale to nie mogło być mgłą, bo było przejrzyste. Ale choć przejrzyste, to jednak gęste jak mgła. Ale to nie była mgła, tylko sam nastrój taki jakiś senny i zgęszczony jak mgła. W ten nastrój właśnie wtopione było miasto i w nim roztopione i dlatego wydawało się takie jakieś dziwne i niezwykłe, choć przecież takie znane mi i takie zwykłe i zwyczajne.

Wstąpiłem, a raczej wpłynąłem, do apteki. Wydawało mi się, że wstąpiłem, ale czułem jednak wyraźnie, że wpłynąłem do tej jakiejś apteki. Bo niby była mi znana, ale jednak jakaś inna, dziwna i niezwykła. I w niej panienka w białym kitlu niby znana, ale jakaś dziwna i niezwykła. Więc zapytałem głosem niby swoim, ale słyszałem go jakby z zewnątrz siebie, jakiś dziwny i niezwykły.

— Proszę panią o wazelinę — powiedziałem, ale widząc jej szczere zdumienie, a potem jakby lekceważące politowanie, dodałem szybko — ale nie taką zwykłą jak pani myśli, lecz taką inną...

— Nawet zwykłej nie ma — przerwała mi — a tej „takiej innej" — powiedziała z ironią, mrużąc oczy — to jeszcze nie wynaleźli.

— No dobrze — powiadam — ale nawet tej zwykłej nie macie?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo już nikomu niepotrzebna.

— Ale właśnie mnie jest potrzebna.

— Do czego? — parsknęła, ale jakoś mgliście. — Nic pan już wazeliną nie zwojuje. Pan jest spóźniony — dodała znacząco.

— Jak to spóźniony?

— Ano spóźniony — ucięła kwaśno, a potem wybuchła — Czyś pan z byka spadł? Teraz inny etap! Dawniej szła tonami. Do niedawna zalegała na półkach i w składach całymi miesiącami, więc ją teraz, wszystko, co było, aby się pozbyć, pchnięto, prawdopodobnie poniżej kosztów własnych na eksport.

— Gdzie? — jęknąłem głucho, ale dlaczego jęknąłem, to nie wiedziałem i sam się temu zdziwiłem.

— A bo ja wiem! — wzruszyła ramionami biała panienka, ale już szarzała i jakby w mgłę zaczęła się przemieniać. — Nie jestem specjalistką od takich kombinacji.

— Więc gdzie ja jeszcze mógłbym dostać tej wazeliny? — zawołałem z prawdziwą rozpaczą, choć głos mój wydał mnie się jakiś nieprawdziwy i jeszcze bardziej głuchy niż poprzednio.

Odpowiedziało mi równie głuche milczenie.

— A może gdzie na prowincji, w takim na przykład Kłaju albo Rypinie? — podjąłem niepewnie, ale z błyskiem mglistej nadziei.

— A my to nie prowincja? — dobiegł mnie głos jakby spod ziemi.

— No to gdzie ostatecznie? — załamałem ręce.

— Może gdzieś w świecie, na Biegunie Północnym, w Ziemi Ognistej, w Grenlandii...

Rozglądam ja się wokół siebie samego, a tu już i z miasta ani śladu. Mgła niby jakaś, ale nie mgła, tylko nastrój podobny do mgły. A w tym nastroju coś jakby transparenty, ale też jakieś z mgły. A na nich napis dużymi, od wewnątrz rozświetlonymi literami, ale też jakby z mgły:

WAZELINY BRAK!

To mną tak przeraźliwie wstrząsnęło, taka ciemna trwoga szarpnęła moimi wątpiami, taki miażdżący ciężar zwalił się na moje serce, taki paraliżujący przestrach schwycił mnie za gardło, taka groza mną targnęła i taka rozpacz o los ojczyzny naszej, taka bezmierna otchłań przerażenia ogarnęła mnie o los ojczyzny naszej bez wazeliny — żem się nagle cały w potach i w dreszczach gorączki ze snu obudził!

Do mety

Opętał Polskę szał
jakiś dziki:
każdy namiętnie
stawia krzyżyki.
W ten sposób można
dobić do mety
z napisem: „Wtórny
analfabetyzm".

GAL.

Uwaga!

Nagroda „Odgłosów" i Wydziału Kultury PRN m. Łodzi

Łódzka Komisja Konkursowa organizuje w ramach V Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów eliminacje w okresie od 10 do 20 marca br. na szczeblu dzielnicowym, od 10 do 20 kwietnia br. na szczeblu wojewódzkim.

Eliminacje centralne odbędą się w okresie od 5 do 15 maja br.

Niezależnie od cennych nagród rzeczowych, przewidzianych dla wyróżnionych uczestników konkursu, Wydział Kultury PRN m. Łodzi i Redakcja „Odgłosów" ufundują nagrodę w postaci obrazu pędzla plastyka łódzkiego dla recytatora najlepiej wykonującego w ramach konkursu utwory literatów łódzkich.

RÓŻA ŻYCHLIŃSKA. (*Paryż*)

SAMSON

Wieczór był cichy.
Na oknie gasnął dzbanek miodu,
na stole — sól.
Krągłe i białe są kolana Dalili,
Samsona wargi zaś grube i smutne.
Wszystko już było:
niewiasta,
lew
i miód.
I lisy szczute z ogniem u ogonów,
i śpiący gród,
któregom bramy wyniósł na szczyt Hermonu.
Machnąłem oślą szczęką —
i Filistynów tysiąc u mych stóp.
Góry dźwigałem na ręku,
by z dolinami wziąć dozgonny ślub.
Wszystko już było,
o kobieto z doliny Szorek —
patrz, tryskam siłą,
lecz serce mam chore.
Wyzwól, Dalilo!
Oswobódź, Dalilo!
Oto kędziory moje — tnij!
Masz ręce — wiąż!
Chcę być jak ty, jak oni, chcę być takim
jak każdy mąż:
chcę drżeć przed lwem
i górom w pas się kłaniać...
Kobieto z doliny Szorek — — —
I Samson objął kolana Dalili.
i płakał Samson u kolan Dalili.

Przekład **Horacego Safrina**

3892-A.

10 poniższych rysunków kryje w sobie tytuły znanych powieści i filmów. Rysunki oznaczone liczbami nieparzystymi odnoszą się do powieści, zaś parzystymi — do filmów. W jednym wypadku rysunek oznaczony liczbą nieparzystą ilustruje tytuł tomu opowiadań popularnego, młodego pisarza polskiego.

Zadaniem uczestnika konkursu jest odgadnąć trafnie na podstawie tych rysunków co najmniej 8 tytułów.

UWAGA! Każdy uczestnik konkursu powinien zebrać ponadto 4 kupony konkursowe właściwe, drukowane swego czasu w gazetach łódzkich, bądź zastępcze.

Kupony te należy koniecznie dołączyć do arkusza rozwiązań, który ukazał się w 1 numerze „ODGŁOSÓW". (Numer do nabycia w sklepie „Ruchu" w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 95). Rozwiązanie (przynajmniej 8 trafnych odpowiedzi, wpisanych na arkusz rozwiązań plus 4 kupony) w kopercie z napisem: I Konkurs „ODGŁOSÓW", należy nadesłać lub złożyć na adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, w ostatecznym terminie do dnia 10 marca br. (włącznie).

Wyniki konkursu opublikowane zostaną w jednym z najbliższych numerów naszego tygodnika.

KUPON Nr 7
(Zastępczy)
I KONKURSU
„ODGŁOSÓW"

KUPON Nr 8
(Zastępczy)
I KONKURSU
„ODGŁOSÓW"

POWTÓRZENIE ZADAŃ NASZEGO KONKURSU

PARAGRAF

ZOFIA TARNOWSKA

fakcie znęcania się nad żoną i dziećmi. Ale czy ten meldunek wpłynie? Sytuacja, jaka się wytwarza w rodzinie uniemożliwia często zgłoszenie nowych przestępstw, a naturalny szantaż w postaci łożenia na utrzymanie stanowi przysłowiową kropkę nad „i" w tej sytuacji.

Sama rodzina, często już po złożeniu skargi, stara się o jej cofnięcie, odmawia zeznań na rozprawie lub wręcz prosi o przebaczenie, gdyż w międzyczasie ojciec rzekomo przyrzekł solenną poprawę, zmienił się nagle w anioła. I te fakty sąd bierze pod uwagę.

Kim są przestępcy? Nałogowymi alkoholikami. Ustawa co prawda stwierdza, że przestępcą może być każda osoba, znajdująca się w stanie nietrzeźwym, praktyka zaś wskazuje, że sprawcami przestępstw są najczęściej osoby pijące nałogowo.

80 proc. spraw sądowych dotyczy alkoholików. Trudno więc nie zapytać: czy wobec tego można wierzyć w skuteczność kary? Alkoholizm jest przecież stanem patologicznym, wymagającym leczenia. Czy więzienie leczy? Nie. Czy wobec tego można wierzyć w skuteczność represji karnych? Także nie. I stąd płynie rozbieżność poglądów w orzecznictwie sądów. Przecież w jednych wypadkach nałogowy charakter alkoholizmu uznaje się za okoliczność obciążającą, w innych zaś za łagodzącą.

I jeszcze jedna sprawa: ustawa mówi wyraźnie: „kto znęca się fizycznie i moralnie..." To znaczy, że prawo musi mieć do czynienia równocześnie z dwoma rodzajami znęcania się, inaczej nie będzie okazji do korzystania z art. 10.

Jeżeli mąż bije żonę i dzieci — znęca się tylko fizycznie, jeżeli jej ubliża — znęca się psychicznie. W praktyce spotyka się najczęściej tylko jedną formę znęcania się i wówczas występują trudności nie tylko z orzekaniem kary, ale nawet z kwalifikacją przestępstwa. Trudno ustalić czasem z jakiego paragrafu maltretuje się u nas kobiety.

PRÓBA WNIOSKÓW

Jak z tego wybrnąć?

Prawnicy często uważają, że decydującym czynnikiem w walce z przestępstwami określonymi art. 10 ustawy antyalkoholowej powinna być szeroka akcja profilaktyczna, polegająca na leczeniu nałogowych alkoholików. Słusznie. Więzienie nie może być zakładem profilaktycznym, albowiem nie ma tam żadnych możliwości prowadzenia odpowiedniej terapii. Należy więc stworzyć specjalne zakłady dla leczenia alkoholików. Nie rozwiąże to jednak zasadniczej kwestii, jaką jest zabezpieczenie materialne bytu rodziny.

Pozostaje jeszcze sprawa grupy już pijaków ale jeszcze nie nałogowych alkoholików. Ci równie dobrze potrafią znęcać się nad rodzinami i jeżeli nie są rzeczywistymi, to na pewno potencjalnymi przestępcami z art. 10.

Jak uwolnić od nich rodziny, korzystając z tego artykułu? Uważam, że trzeba tu zastosować przymus pracy w zakładach zamkniętych, określić wysokość zarobków i zarobki te przekazywać rodzinom. Pijaństwo wyrządza wiele szkód moralnych i materialnych. Pijak powinien za te szkody płacić pracą. Wówczas jego izolacja nie będzie przysparzała państwu dodatkowych kłopotów materialnych, a rodzina nie pozostanie bez grosza.

I wreszcie ostatnia sprawa — trzeba wprowadzić małą zmianę w art. 10 ustawy, a mianowicie zamiast „znęca się fizycznie i moralnie" użyć określenia „fizycznie lub moralnie".

Załatwienie tego pozwoli na powszechniejsze korzystanie z art. 10 ustawy antyalkoholowej. A sam artykuł stanie się wreszcie potężnym środkiem w zwalczaniu alkoholizmu i co za tym idzie — w przywróceniu równowagi życiowej dziesiątkom tysięcy kobiet i dzieci.

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBIS

Powieść

ILUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE POCZĄTKU

W ruinach sulejowskiego opactwa zmarł nagle Pronobis, sędziwy bibliograf i zbieracz ex librisów. Lekarz stwierdził zgon na skutek zawału serca. Przyjaciele Pronobisa, Tomasz i Nataniel, podejrzewają, że nagła śmierć staruszka została przez kogoś spowodowana. Utwierdza ich w tym przekonaniu przedśmiertny list Pronobisa, w którym pisał on, że nawiedzają go z niewiadomego powodu jacyś biali mnisi podobni do upiorów, że była u niego młoda, piękna kobieta żądająca wydania jej testamentu rycerza Baldaricha-Bałdrzycha.

* * *

Pochowaliśmy zmarłego Herakliusza Pronobis na małym cmentarzyku mnichów w obrębie murów warownych sulejowskiego opactwa. Wysoka po kolana trawa kryła tu resztki połamanych płyt nagrobkowych i poprzewracane krzyże żelazne. Gęsto obrastały cmentarz stare i młode brzozy o gibkich pniach z nawisami chudych gałązek pokrywających trawę ochrą, złotem i czerwoną rdzą zeschłych listków.

Kupiliśmy w osadzie czarną, dębową trumnę, gładką, bez ozdób. Wydawało nam się, że właśnie taka najdoskonalej harmonizuje z prostotą zdań sześciotomowej bibliografii Pronobisa i jego dziełka o polskich ex librisach. Słoneczny, ale chłodny dzień przechylił się już ku nocy, gdy postawiono trumnę nad krawędzią jamy. Unieśliśmy na chwilę drewniane wieko, jeszcze raz patrząc w twarz przyjaciela, jakby po raz ostatni i jemu pozwalając spojrzeć w pociemniałe niebo.

Niski i drobny ginął w przestronnym trumie. Siwe włosy rozsypały się na poduszce, skóra zapadła mu na policzkach, bladych jak odlew gipsowy. Cienie wieczoru pogłębiły bruzdy zmarszczek wokół nosa i na czole, mrok zalał wgłębienia zamkniętych oczu i odebrał twarzy jej znajomy wyraz. Śmierć jakby odczłowieczyła rysy Herakliusza; tak mróz waży roślinę i odbiera jej piękno.

...Stuk młotków zabijających wieko trumny poderwał z dachu attyckiej wieży gęste stado kawek. Pojękując poleciały na wschód ponad murami warowni. Wyminęły wieżę krakowską, podobną do szypułki kwiatu z nie rozkwitłym szpiczastym pąkiem. Zniżyły swój lot i zniknęły za ostrym kolcem nakrycia baszty opackiej. Zgiełk ich jękliwych głosów zagłuszył szelest rzucanych na trumnę garści żółtego piachu.

Czy wraz z tą czarną trumną zapadała w ziemię i tajemnica śmierci naszego przyjaciela?

* * *

Izba Pronobisa jest na trzy metry szeroka, niska, z belkowanym sufitem. Potykając się o nieliczne sprzęty, dwoma krokami ciągle przemierza ją Nataniel. Pali papierosa za papierosem. Siedzę przy stole i systematycznie przeglądam każdą Herakliuszową książkę, każdy skrawek papieru.

Oto niedokończony szkic o opacie Otto Schenkingu. Oto suche jak liście i śliskie pergaminy dyplomów fundacyjnych sulejowskiego klasztoru: dokument ks. Kazimierza Sprawiedliwego, Konrada Mazowieckiego, arcybiskupa Pełki, Leszka ks. Krakowskiego, bulla papieża Grzegorza IX.

Kiedy w roku 1819 nastąpiła kasata klasztoru, część cysterskich dokumentów przejęły kościelne i prywatne archiwa, część rozebrały między siebie okoliczne dwory, a znowu z dworów powędrowały one do chłopów. Herakliusz Pronobis, który rozmiłował mnie w ruinie opactwa i natchnął myślą napisania „Dziejów sulejowskich opatów", troszczył się o wskazanie mi odpowiedniej do tego celu bibliografii i wynajdywał potrzebne dokumenty. Wędrował od chaty do chaty po odległych nawet wioskach. Zadziwiał ludzi swą wytworną i niezrozumiałą mową, budził zaufanie schludnym strojem i sędziwym wiekiem, śmieszył swym wielkim kapeluszem pilśniowym ze złamanym rondem, upodabniającym go do królika kłapoucha. Poczytywano go za „szaleńca Bożego". Gadał mętnie o świętych, o opatach i biskupach, otwierali przed nim strychy i zakamarki skrzyń — pławił się w nich dowoli odnajdując prawdziwe skarby poklasztornej biblioteki. Teraz ja stałem się dziedzicem tych wszystkich zasobów.

— Czyżby jednak nie napisał szkicu o opacie Bernardzie? — rzekłem zawiedziony, składając na kupkę papiery Pronobisa. — W liście doniósł o gotowym szkicu. Tu go nie znalazłem. Brakuje również testamentu owego Baldaricha-Bałdrzycha. O ile go w ogóle posiadał...

Nataniel przerwał wędrówkę.

— Znałem Herakliusza jako człowieka niesłychanie dosłownego. Możesz być pewien, że napisał o tym Bernardzie. Któż to taki?

Wskazałem portret na ścianie.

— Jeden z późniejszych opatów sulejowskich.

Powtórnie przerzuciłem wszystkie dokumenty. Potem jeszcze raz przeczytałem list Pronobisa.

— List nie mówi zdecydowanie, czy Herakliusz miał testament Bałdrzycha. Był on jednak w jego posiadaniu, skoro znana mu była ta osoba, skoro wiedział nawet, że Bałdrzych umarł bezpotomnie? W każdym bądź razie, jedno stwierdzam: teraz nie ma testamentu. I nie ma szkicu o Bernardzie.

— Sugerujesz, że Pronobis umarł, porażony widokiem pięknej kobiety? — powątpiewał Nataniel.

— Nie. Myślę raczej o związku między tą kobietą a mnichami. Herakliusz skonał przerażony widokiem białych upiorów. Być może, i mnisi szukali u niego testamentu Bałdrzycha.

— Lecz co miał z tym wspólnego szkic o Bernardzie?

— Nie wiem. Nic nie wiem, Natanielu. Szkic pewnie nic z tym nie miał wspólnego. Ale mógł mieć kiedyś opat Bernard.

Pozostało jeszcze rozstrzygnąć kwestię, czy przekazać odpowiednim władzom nasz pogląd na nagłą śmierć Pronobisa. Bałem się tego. Byłem pewien, że list sędziwego starca uznany zostanie za wytwór wyobraźni umierającego człowieka. Z drugiej zaś strony nikt mi nie mógł zaręczyć, że władze pozostaną dyskretne, że naczelny redaktor „Bibliofila Polskiego", który miał do Pronobisa zadawnioną niechęć — nie dowie się o mej przyjaźni z Pronobisem. Na przestrzeni czterech lat zmieniłem 9 posad. Wszędzie uważano mnie za śmiesznego dziwaka i fantastę, nieprzydatnego do żadnej konkretnej roboty. Stosunkowo najdłużej, bo prawie dwa lata pracowałem w „Bibliofilu". I teraz znowu miało mnie czekać poszukiwanie zajęcia?

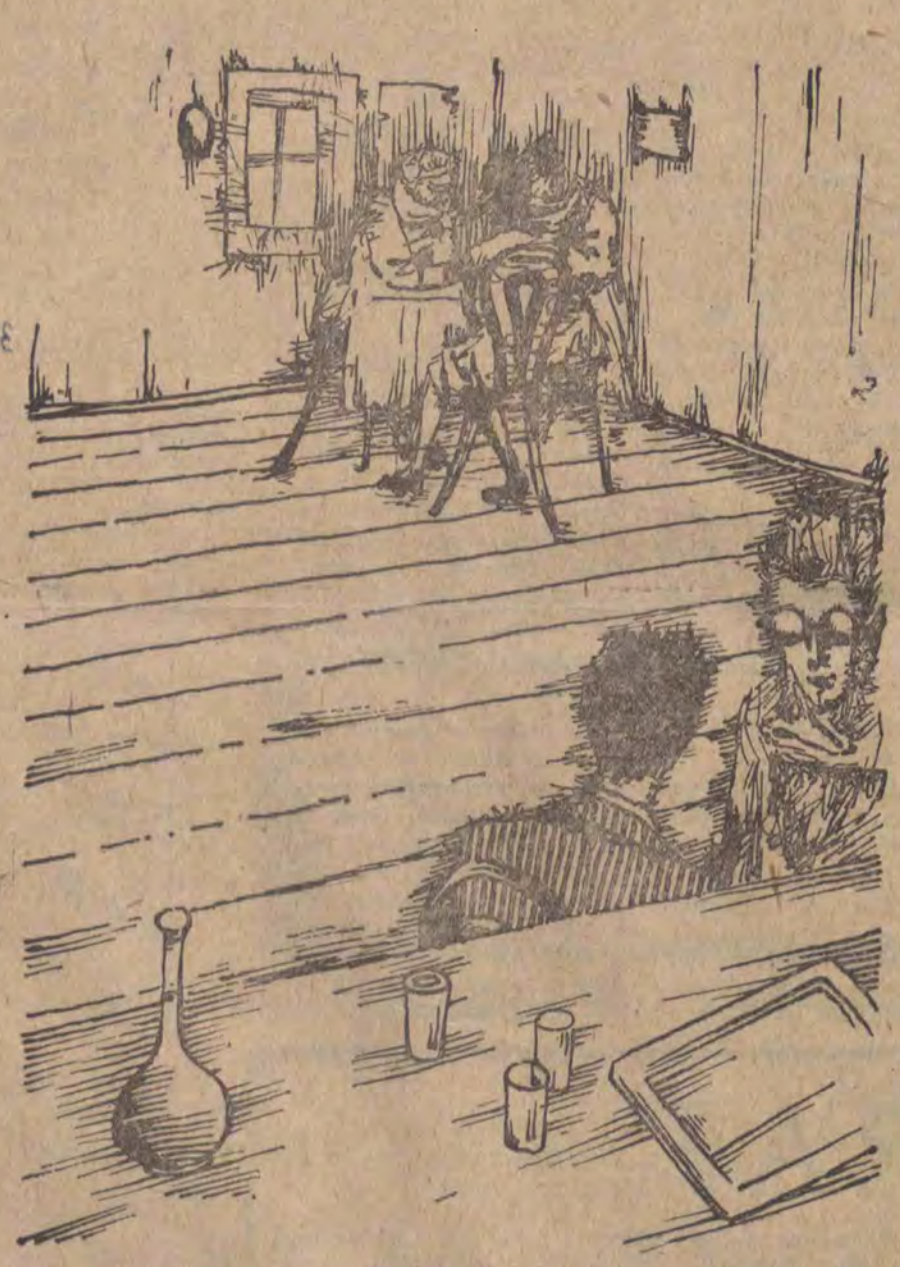

Pronobis umarł. Nie mogła go wskrzesić moja ofiara — rozstanie się z pismem, które go potępiło. Jeszcze za życia sprzeciwiał się temu rozstaniu i przyjaźni naszej ani na chwilę nie mąciła sprawa, że pismo w którym pracuję, napada na niego tak brutalnie.

— Przyjaźń dla Pronobisa, drogi Natanielu — powiedziałem — każe nam odnaleźć jego zabójców. Zapewne Herakliuszowi na nic się to już nie przyda. Ale czy nie przyda się nam żywym?

Nataniel dodał:

— Obrażę się, jeśli mniemasz, że poeta ma mniej inteligencji niż policjant. Zresztą tylko w powieściach kryminalnych poznaje się mordercę dzięki sztuce logicznego rozumowania. W życiu decyduje o tym jedynie przypadek. Zdajmy się więc na niego, drogi Tomaszu.

ROZDZIAŁ II

NA TROPIE ZABÓJCÓW

...Nazajutrz po pogrzebie Pronobisa, karczmarz w Winodaju koło sulejowskiego opactwa postawił przede mną szklankę wódki i pół pęta sparzonej we wrzątku kiełbasy. Wieczór był wczesny jak zwykle późną jesienią, mdły od wilgoci. W karczmie, oprócz mnie i Natanicla zaszytych w najciemniejszym kącie, siedziało jeszcze trzech gości — kobieta i dwóch mężczyzn, którzy podobnie jak i my zajechali tu swym osobowym samochodem. Goście zamówili coś do zjedzenia i wypicia, karczmarz zapalił lampę naftową i zaczepił ją na drucianym kółku zwieszającym się od czarnej powały.

Zagryzana kiełbasą wódka przyjemnie paliła podniebienie, mdły wieczór przez zaparowane szyby sączył się mrokiem do pachnącej piwem izby. Na dworze dął wiatr, napierał na spróchniałe ściany karczmy, dziurami w poszyciu wdzierał się na strych i szparami sypał z sufitu zakurzone plewy. Karczma drżała, trzeszczały jej stare kości, pojękiwały zręby i krokwie. Lampa kołysała się na drucie, a po ścianach gięły się zdeformowane cienie trójki przyjezdnych gości. Ludzie ci mówili z rzadka, kawali słowami, lecz ich cienie jakby opowiadały sobie wesołe anegdotki — pochylały się ku sobie głowami, zanosiły się śmiechem, odskakiwały od siebie, brały za brzuchy.

A wszystko to tworzyło nastrój, w którym najłatwiej wyolbrzymiać doznane przykrości. Przypomniałem sobie zdania z artykułu „Bibliofila Polskiego", czasopisma, w którym pracowałem, jeszcze jedną napaść, której redakcja nasza nie oszczędziła Pronobisowi. Pisano:

„...rodowód zbierania ex librisów sięga czasów feudalnego wyzysku i ucisku. Zwyczaj nalepiania i zbierania ex librisów jest najpełniejszym wyrazem owego charakterystycznego dla posiadaczy silnego poczucia własności. Czy w nowym społeczeństwie wolnym od wyzysku, gdy książki są własnością społeczną — zwyczaj nalepiania ex librisów, odznaczania książek piętnem prywatnej własności — nie jest czymś wrogim, wymagającym potępienia?"

Przerażony nagonką sędziwy starzec skrył się w ruinach sulejowskiego opactwa. Komu jednak zależało na jego śmierci?

Potem przypomniałem sobie swe rozstanie z młodą i piękną dziewczyną.

...Odwiedziła mnie tego dnia w południe nie zapowiadając swej wizyty. Nazywałem ją „Babie lato".

— Wyjeżdżam. Jutro wyjeżdżam w góry — powiedziała, starannie dobierając słów, złośliwie naśladując tym mistrza Nataniela. — Pożegnanie i pamięć o tobie jest wszystkim, co potrafię ci ofiarować. Czytałam sporo książek, a prawie każda z nich usprawiedliwiała mój dzisiejszy postępek. Kobieta była zawsze symbolem rozterki i zamętu w życiu intelektualnym, ostrzegał mnie twój ulubiony pisarz. Podziwiam twoją pracę, zdumiewa mnie ona i zachwyca. Chcę cię podziwiać, ale nie chcę kochać. Nie wierz kobietom, nawet tym najmądrzejszym. Interesują je nie twoi opaci, a usta, którymi o nich mówisz. Żoną twoją winien być mistrz Nataniel, lecz nie kobieta przeżywająca dreszcz strachu, gdy myśli, co stanie się z jej urodą za lat kilkanaście, a ty każesz jej spoglądać o tysiące lat wstecz i pięćset lat naprzód. Oddając do druku swą pierwszą książkę nabyłeś za nią samochód, który jest w ciągłej naprawie. Zarzuciłeś swą nową powieść dla „Dziejów sulejowskich opatów", budzisz tym podziw. Jesteś wzruszająco uroczy. Ale jak rzekłam — pragnę cię podziwiać, ale nie chcę kochać.

I miała smutek w kącikach warg podobnych do ruchliwych zwierzątek. Był w jej oczach podziw dla mnie, ale brakowało miłości...

...Wichura trzęsła karczmą Winodaj, kołysała naftową lampą. Gęste od barw butelki odpowiadały wichurze mrukliwym chrzęstem szkła. Cienie na spróchniałych ścianach zwierzały się teraz sobie z jakichś ponurych historii, potakiwały wielkimi głowami, kurczyły przerażeniem. Wiatr uderzył w zamglone szyby drobnym deszczem, zapukał w nie ostrym paznokciem. Po karczmie przeszło jakby ciężkie westchnienie, na chwilę przygasł płomień lampy, zaskwierczał, wypełnił szklany klosz czarnym kopcem. Z trójki gości siedzących przy sąsiednim stole wyskoczył piskliwy głos:

— Skarby Baldaricha-Bałdrzycha, to gra warta zachodu. Ale nam już teraz, zaraz, są potrzebne pieniądze. Dlatego trzeba się wziąć za „meblową historię". A potem? Potem do Borowa...

Pisk przeszedł w szept, w pomruk zrozumiały jedynie dla siedzących blisko. Szklanka wódki, która miałem już przy wargach, drgnęła mi w ręku, zadzwoniła o zęby i uroniła kilka kropel. Nataniel nastroszył się jak czujny ptak.

Chwyciłem dłoń Nataniela:

— Słyszysz? — szepnąłem — Baldarich — Bałdrzych? Skarby...

Troje przejezdnych siedziało tuż przy rozkołysanej naftówce. Zwracała uwagę przede wszystkim kobieta, może dwudziestopięcioletnia, bardzo urodziwa. Wysoka, rosła brunetka, o czarnych, gładko zaczesanych włosach, związanych z tyłu w gruby węzeł. Miała twarz bladą, wąskie brwi schodziły się skośnie nad nosem, nadając jej rysom wyraz surowości. Mięsiste wargi stykały się silnie, w powolnych ruchach głowy i rąk wyczuwało się powagę. Była to uroda raczej onieśmielająca, a przez to może sprawiająca wrażenie pogardliwej i wyniosłej.

Onieśmielała też i obydwu towarzyszących jej mężczyzn. Uśmiechali się do niej uniżenie, a choć milczała, zaglądali w oczy i potakiwali jej myślom. Szczególnie ów o piskliwym głosie, mały, drobny i ruchliwy, z długą gębą i promieniście rozchodzącymi się od ust zmarszczkami, które przypominały wąsiska szczura. Miał zresztą i szczurze oczy, ukryte głęboko w oczodołach. Drugi z mężczyzn był krótki, gruby, beczułkowaty, z nosem jak omaszczona kluska. Łysinę na wielkiej głowie obrzeżał wianuszek zlepionych potem włosów. Patrząc na niego wprost narzucało się zdanie: „Ty z Indyi Bachu majonosy", czyli umajony liśćmi, maj na głowie noszący — jakby to wyjaśnił słownik Lindego.

Szczurek uniżenie tłumaczył coś czarnej kobiecie, gestykulując. Mówił ostrożnie i szeptem. Wzrok kobiety obojętnie ślizgał się po ścianach karczmy. Nagle podniosła się i podejmując ze stołu zamszowe rękawiczki, ucięła.

— Dobrze. Jedziemy. Jedziemy do Przeklętnika.

Bach Majonosy zerwał się chyżo z ławki i podbiegł do szynkwasu, aby zapłacić karczmarzowi. Kobieta i Szczurek przeszli mimo nas i zniknęli w sieni. Mignął mi w oczach ostry profil piersi opięty czarnym swetrem.

— To oni. Zabójcy Herakliusza — szepnąłem. — Pronobis pisał w liście: „Odwiedziła mnie młoda i ładna kobieta". Młodości i urody nie brakowało tej czarnej piękności.

Zataczając się na krótkich nóżkach Majonosy wytoczył się pośpiesznie z karczmy. Wówczas zerwałem się od stołu.

— Za nimi! Nie wolno ich spuścić z oka!

(dcn.)

(W następnym numerze rozdział pt. „Przeklętnik").

BYWALEC ŁÓDZKI

POEZJA POSZŁA MIĘDZY WOZAKÓW

Nasz stały korespondent donosi z baru „Rekord", iż zaobserwował niezwykłe zjawisko. Nieczuli z reguły na poezję furmani, przed wypiciem kolejnej wódki mówią słowa:

„No to szlus
pod te dziesięć deka"

Jak wiadomo dalszy ciąg cytatu brzmi:

„pod te skrzypce w pijanej agonii
pod ten Paryż w ciuchu u Szembeka
pod te święte k....
z „Polonii".

Jest to fragment poematu „Czarny wiatr" znanego skądinąd poety Andrzeja Mandaliana.

Panie Andrzeju — gratulujemy. „Wozacy" sobie pana upodobali.

(Wil)

FACECJONISTA

ŻONA

Jeden z naszych dziennikarzy zamierza się rozwieść. Koledzy jego powiadają: „Taką ma miłą, przyjemną, dobrą, ładną żonę, a jednak..."

Dla zrozumienia tej sprawy warto może przypomnieć jedną z „Facecyi polskich" wydanych przez Brücknera:

„Aemilius chciał się z żoną rozwieść. Przyjaciele jego bardzo mu to odradzali, mówiąc: „Wszak to masz żonę uczciwą, nadobną, skromną, stateczną; czemu się z nią rozwodzić chcesz?" Podniósł swoją nogę i rzecze: „Wszak to trzewik nadobny, z dobrego rzemienia, a wszak żaden z was nie wie, gdzie mię ucliska". — Każdy mieć musi swego mola. Przypowieść stara:

Nędzę cierpieć musi
Kogo żona dusi".

WDOWY

Podobno w Łodzi, jak w starożytnym Rzymie, wdowy najchętnie za mąż wychodzą w niedziele lub święta.

— Znów się zaciąłeś przy goleniu?

Pytano kiedyś cesarza Augusta o przyczynę tego. Powiedział: *„Albowiem nowych przekopów w święto kopać się nie godzi, ale starych poprawiać każdy może"*. — Rozumiał August:

„Jest u wdowy
Chleb gotowy".
(Z Brücknera)

MAŁA RZECZ A CIESZY

ZGADYWANKA PONAD PLAN

Organizatorzy 37 „Zgaduj-Zgaduli" zrobili publiczności łódzkiej miłą niespodziankę, gdyż nie wystąpił na tej imprezie zapowiedziany w afiszach jugosłowiański duet taneczny.

Okazuje się więc, że obok premiowanych konkursów, prowadzonych z maestrą przez pp. Rokitę i Przybylskiego już na samej imprezie, łódzcy miłośnicy „Zgaduj - Zgaduli" mieli jeszcze przed rozpoczęciem dodatkową atrakcję, zgadywanie— kto wystąpi, a kto nie?

CZEKAMY NA TWÓRCZOŚĆ

„Express Ilustrowany" zamieścił w numerze 33 ogłoszenie matrymonialne poniższej treści:

...Wolczańska 26, zgubiła legit. szkolną. 2499-G

MATRYMONIALNE

KAWALER w średnim wieku (literat) pozna inteligentną, zgrabną panienkę do lat 23. Oferty pisemne „2494" Biuro Ogłoszeń Piotrkowska 96.

Szanowny „literacie", czyżby Muzy już nie wystarczały? Posucha???

Dor.

KOMENTATOR DOSTOJNY

SPOSÓB

W piętnastu krajach europejskich, w tym również i w Polsce, ma być przeprowadzony przez Stacje Ornitologiczne spis... bocianów. Wtajemniczeni twierdzą, że spis ten odbędzie się w związku z koniecznością wstawienia do planów państwowych liczb dotyczących przyrostu naturalnego.

NARESZCIE

Nareszcie zdobyliśmy się na ten słuszny krok: upaństwowiliśmy wybory „miss". Taka pierwsza państwowa „miss Łodzi" zostanie wybrana 7 kwietnia w ogrzanej Hali Sportowej. A w ogóle nie będzie już żadnej niezdrowej sensacji i żadnych prywatnych wyborów. Nawet jeśli ktoś zapragnie wybrać sobie spośród grona swych wielbicielek najpiękniejszą na żonę, musi w tym celu zwrócić się do specjalnej komisji. Odtąd bowiem będą już tylko państwowe „miss".

NIE NAWYKLI

Na wokandy sądowe wchodzi coraz więcej spraw przeciw dziennikarzom. Są to najczęściej sprawy o tzw. zniesławienie. (A propos, zniesławić można podobno tylko tego, kto cieszy się dobrą sławą). Skąd bierze się tyle tych spraw? Niektórzy utrzymują, iż jest to wynik braku odpowiedzialności za słowo itp. etc. Może być i tak, może być inaczej. Po prostu wielu ludzi nie przyzwyczaiło się jeszcze do tego, że wskazuje się ich palcem. Że nazywa się ich nie tylko po imieniu, ale i po nazwisku.

PROPOZYCJE

Promieniowanie kosmiczne, w którego zasięgu znajdą się podróżnicy międzyplanetarni — ma ponoć wpływ na zmianę dziedzicznych właściwości człowieka. W związku z tym należy natychmiast wysłać w przestrzenie kosmiczne wszystkich tych, którzy od dziada pradziada odczuwają dziedziczny pociąg do: kobiet, butelki, gier hazardowych i liczbowych.

W ten sposób nastanie wreszcie raj na ziemi, i piekło na księżycu.

GIC.

ZASPOKOJENIE POTRZEB

W poczekalni tramwajowej przy ul. Bema w Łodzi następnego dnia po jej oszkleniu skradziono szyby. W związku z tym fakt, iż w bieżącym roku Dyrekcja Łódzkiego MPK planuje postawić kilka dalszych poczekalni (tzw. szklanych daszków) — pozwala przypuszczać, że zapotrzebowanie łodzian na szkło zostanie w najbliższym czasie poważnie zaspokojone.

UCZCIE SIĘ DŻIU-DŻITSU

Obywatele Łodzi z ulgą przyjęli wiadomość o licznych kursach dżiu-dżitsu, zorganizowanych niedawno. Niestety, z ubolewaniem donosimy, że wszystkie zawiesiły działalność, wobec nazbyt licznego napływu elementów chuligańskich.

K.

PRZECIEKI

STO KWIATÓW

Jak się dowiadujemy ze źródeł dobrze poinformowanych, na stanowisko redaktora poczytnego dwutygodnika *„Prawo i Życie"* powołany został ex-łodzianin dr Kazimierz Kąkol. Na pierwszym zebraniu kolegium redakcyjnego nowy red naczelny miał oświadczyć: „Chcieliście stu kwiatów, no to macie jeden, i to w dodatku... kąkol".

PROF. CEZARY BRÓDKA MA GŁOS

W numerze 34 **„Dziennika Łódzkiego"** w zapowiedzi koncertów jazzowych w Filharmonii Łódzkiej wyczytałem następujące zdanie:

„Koncerty będą poprzedzone słowem wstępnym znanego pisarza i kompozytora— Stefana Kisielewskiego. Zapowiadać będzie publicysta jazzowy Roman Waschko".

Publicysta jazzowy? Czemu nie. Bardzo mi się ten termin podoba. Mam nawet w tej sprawie kilka własnych pomysłów: publicysta symfoniczny, estradowy, koncertowy, publicysta kukiełkowy, publicysta kawiarniany, publicysta na raty i na wynos.

Warto też zastosować i inny podział. Odróżniać tych co piszą na pierwszą stronę i tych, co piszą na drugą stronę gazety, publicystów jednoszpaltowych i publicystów dwuszpaltowych oraz takich, którzy pisują w gazecie prawą lub lewą nogą.

BEZPARTYJNIAK ILUSTROWANY

Z WIZYTĄ U PUSTELNIKA

Nasz specjalny wysłannik red. H. S. odwiedził niedawno lepiankę pustelnika pod Nowym Miastem, w pow. Rawa Mazowiecka. Oto krótka relacja z tej niezwykle ciekawej wizyty:

...Jesteśmy na szczycie niedużego pagórka. Stajemy u drzwi małej, zapadniętej w ziemię chatki, a ściśle, lepianki jednego z nielicznych, żyjących na terenie województwa łódzkiego pustelników.

Pustelnik przyjął nas bardzo uprzejmie, gładząc swoją potężną brodę — widać ją zresztą na załączonym wyżej zdjęciu.

— Czy nie nudzi się panu w tej smutnej pustelni? — zadaliśmy mu niedyskretne, acz rzeczowe pytanie.

— Odwiedzili mnie nie tak dawno dwaj najstarsi polscy pustelnicy, Andrzej i Walenty. W lecie też był tu jakiś pustelnik, ale mnie nie zastał. Wyrył tylko napis na kamieniu. Gdy odwiedzają człowieka, to się tak nie nudzi — opowiada pustelnik Ignacy (bo tak mu na imię). Opowiadając, czyni krótkie przerwy dla zebrania myśli, gdyż jak przyznaje, pamięć mu już szwankuje.

Mimo tego, chętnie udziela informacji na temat swej pustelni:

— W 1666 roku na górce tej, zwanej Zgoda, doszło do porozumienia między zbuntowanymi wojskami hetmana Lubomirskiego i wojskami króla Jana Kazimierza. Dla upamiętnienia tego faktu zamieszkali tu pustelnicy. Poprzednik mój, nazwiskiem Walenty Majcher, zmarł w lepiance mając 80 lat. Podobno 100 rubli w złocie musiał zapłacić za zezwolenie wybudowania tu tej chatki, która odziedziczyłem po jego śmierci, w roku 1935.

Tak więc Ignacy mieszka w tej lepiance 23 lata. Skąd bierze pożywienie? W lecie zbiera owoce leśne, łowi ryby, w zimie żyje z darów, jakie składają mu okoliczni chłopi. Od najmłodszych lat — jak się zwierza — odbywał dalekie wędrówki po kraju. Nigdy nie interesowały go kobiety, postanowił, że nie będzie się żenił. Po kilku latach tułaczki, tutaj, na pagórku Zgoda znalazł przyjazne schronienie.

— Jest mi tu dobrze — mówi z powagą. I zaprasza nas do wnętrza swej chatki, podobnej nieco do piwnicy, wyposażonej w pryczę, ławkę, cebratkę i żelazny piecyk.

Nad lepianką od czasu do czasu przelatują samoloty. Czy nie przeszkadza mu ich warkot?

— Nie. Przenoszą mnie myślami do nieba...

OD REDAKCJI: powyższa relacja jest, oczywiście, autentyczna.

MAŁY RACJONALIZATOR

Ponieważ tak zwane „sprytualia" stanowią na ogół podstawowy element łódzkich wystaw sklepów spożywczych — przeto dla zwiększenia wabiku i uatrakcyjnienia tego nader pogardzanego artykułu, „mały racjonalizator" proponuje:

1) nadać dekoracji bardziej intymny i swojski charakter (stół, zakąski, kieliszek z perlistym napojem oraz manekiny lub biesiadujące osoby żywe).

2) wprowadzić probiernie wódek w każdym większym i mniejszym sklepie.

3) pobierać daniny od klientów nie zakupujących wódki, podobnie jak się to ma z podatkiem kawalerskim. Wpływy od abstynentów przeznaczy się na budowę nowych izb wytrzeźwień oraz na zakup czarnych kotów, które uwalniałyby alkoholików od prześladujących ich „białych myszek".

MIESZANKA FILMOWA

Felieton dla widowni

„MOULIN ROUGE"

1

Kiedy Toulouse — Lautrec opuszcza kabaret, na sali gasną światła, a pochylone nad wiadrami sprzątaczki, zabierają się do mycia podłogi. Widz, który ma jeszcze w oczach barwną mozaikę kankana, dowiaduje się teraz, że malarz jest kaleką. W ten sposób rozpoczyna swoje działanie owo — starannie przygotowane zestawienie, które będzie konsekwentnie prowadzone aż do końca filmu. Przez uporczywe przeciwstawianie piękna — brzydocie, radości — smutkom, a swobody stosunków towarzyskich — osamotnieniu.

Lubicie cyrk, gdzie clown ma długi nos — co jest wesołe? Cyrk, w którym błazen komicznie utyka na jedną nogę, a poprzebierani karzełkowie są niebywale śmieszni?

2

Czasem podobnie czuję się w kinie. Najczęściej wtedy, gdy zauważam, że kino, śladem teatru i literatury, w swoich najpiękniejszych obrazach upodobało sobie kalectwo, które przekształca we własne fotogeniczne atrakcje. Najczęściej znajdujemy na ekranie kalectwo psychiczne, w jego stu, pomysłowo zróżnicowanych przez życie odmianach. Bo kalectwo nie zawsze występuje w sposób bezpośredni. Nie zawsze jest ono fizyczne chociaż takie cieszy się od dawien dawna wyjątkową sympatią scenarzystów.

Dlatego tragiczny karzeł Toulouse — Lautrec, bohater znanej powieści Pierre La Mure'a, a teraz filmu, reżyserii amerykanina Hustona — jest dla kina postacią nieomal wymarzoną. Obiecuje efektowne powikłania psychiczne, pozwala skonstruować ujmującą oprawę plastyczną, utrzymaną w stylu swojego malarstwa i wreszcie — daje filmowi tło Moulin Rouge z jego kankanem i barwnymi akcesoriami. A kiedy wszystko się tak układa, to już z zamkniętymi oczyma można przysięgać, że palnięta będzie niejedna gaffa. Tak też się stało. *Moulin Rouge* jest filmem beznadziejnie konwencjonalnym. Nie dlatego, że zbliża się do melodramatu. Konwencjonalność *Moulin Rouge* leży w jego małej odkrywczości. Ten film staje się tani, kiedy powtarza na temat osamotnienia i kalectwa wszystkie słowa, które już kiedyś zostały powiedziane.

Colette Marchaud w filmie „Moulin Rouge".

A szkoda! Bo ma przecież *Moulin Rouge* tyle uroku w wyjątkowym kolorze i kapitalnych ujęciach, w fenomenalnej kreacji J. Ferrera i owym walcu Aurica, że doprawdy żal... Przez ubóstwo literackie, mimo swoich najszlachetniejszych zamiarów — jest to film wystawy i powierzchownego blichtru, a nie treści, które nie byłyby opowiedziane banalnie. To źle, kiedy najlepszymi scenami w tego rodzaju filmie są wstawki taneczne. A jednocześnie ten sam film zdobywa dla siebie nasze wzruszenie środkami i sposobami melodramatu. *Moulin Rouge* — angielski film o francuskiej scenerii i amerykańskim widzeniu kina! Przede wszystkim — jest to film za łatwy. Jakże nie zauważyć, że nawet te nastroje, które biorą, są przedawkowane? Nie są one tylko wyczuwane, ale wręcz przeciwnie, zanadto uchwytne, dopowiedziane do ostatka. Stąd się bierze ich fałsz, który tego filmu, mimo oczywiście aspektów jego uroku, nie pozwala zaliczyć w poczet arcydzieł kinematografii.

3

I jeszcze jeden drobiazg. Przed projekcją filmu występuje w kinie zespół satyryczny. Konferansjer mówi monolog pijaka. Publiczność zaśmiewa się do łez. Notuję to ze względów protokolarnych. Bo jeszcze mógłbym przez zapomnienie nie dodać, że przekształcenie kalectwa w atrakcję — odkąd świat światem — zwykło wyzwalać te same uczucia co lustro w gabinecie śmiechu.

EDWARD ETLER

TEATRZYK KINOFIKCJI

Rok 1
NR II

Przedstawia powieść z życia sfer filmowych, zawierającą liczne wstawki sceniczne. Jest to powieść — spektakl — rzeka, twór bez początku i końca, pod nadzorem Edwarda Etlera.

TYMCZASEM NA UBOCZU *)

Staruszka, która pełni obok trójkącika **) i kółka ***) — funkcje nie ekskluzywne, ale pożyteczne, zapytuje kelnera:

— Nie wie pan, co za bankietowanie dziś obchodzimy? Tyle tego ostatnio, że się połapać trudno!

— Sza, babciu. Kino. Miliardera fetują!

— Co? Miliard zarobił?

— Ee, że też babci takie myśli po głowie chodzą. On Prostaczek, ale miliarder, bo już miliardowego deficytu przysporzył.

No no, pomyślała babcia. Ja bym też miliardzik ten tego... Ale tu warsztat na mniejszą skalę. Niesposób. Prostaczek miliarderem! A mówili, że to tylko w Ameryce. Marzy: — kino, kokosy. Zasypia. Kurtyna.

PRZEGLĄD PRASY

Nasi wysłannicy donoszą. Drugi ludowy miliarder, reżyser Zadziornik, nie wystąpił na bankiecie Wolnych Twórców. Zawiniły wojaże.

DODATEK NADZWYCZAJNY. Red Capa-Pycakiewicz kabluje ze stolicy. Połowa dorocznej „Wielkiej Nagrody Przekory" przyznana została przez Stowarzyszenie Krytyków Amatorów filmowi wyjątkowo złemu.

ZA TYDZIEŃ I POTEM:

Sen staruszki. Bankietu ciąg dalszy. Stenogram redaktora Capa-Pycakiewicza. Powrót Zadziornika. Białe myszki i zapowiedź wątku erotycznego.

(d.c.n.)

*) bankietu,
**) tylko dla panów,
***) tylko dla pań.

Jakie będą „Kalosze szczęścia"?

Przede wszystkim zwięzła informacja. „Kalosze szczęścia", to komedia filmowa, będąca uwspółcześnioną adaptacją znanej bajki Andersena. Film znajduje się obecnie w stadium realizacji. Reżyserem jest Antoni Bohdziewicz. Zdjęcia wykonuje Stanisław Wohl.

Reżyser Antoni Bohdziewicz cieszy się opinią twórcy, który, aczkolwiek niezwykle starannie dobiera aktorów, niemniej pozwala sobie przy tym na bardzo zazwyczaj odważne eksperymenty. Tak było w wypadku filmu „Za wami pójdą inni", identycznie przy „Zemście", także samo przy „Szkicach węglem" i wreszcie — „Kaloszach szczęścia". Niedawno czytaliśmy na przykład zwierzenia poety Hordyńskiego, informującego czytelników, że został zangażowany do filmu Bohdziewicza (czego w tym kraju felietonista nie sprzedaje). Teraz znów słyszymy, że obok pewnego, bardzo miłego brodacza, występuje w „Kaloszach" p. Monika Dzienisiewicz. Wobec powyższego postanowiliśmy reprodukować fotos, który przypadkowo znalazł się w naszym posiadaniu, a nasi reporterzy przeprowadzili z p. Moniką wywiad.

Usłyszeli, że odkrycie reżysera Bohdziewicza wcale nie marzy o karierze kinematograficznej, tylko zamierza się uczyć. Bardzo to reporterów ujęło i dlatego rzecz skrupulatnie odnotowują, a także polecają uwadze milionowej rzeszy pensjonarek.

POST SCRIPTUM: Wobec licznych pytań Czytelników zmuszeni jesteśmy wyjaśnić, że przed tygodniem reprodukowaliśmy na tym miejscu (nie podpisane) zdjęcie Brigitte Bardot. Za tydzień wystąpi Marina Vlady. Potem Zizi Jeanmaire itd.

RED.

BARDOT IDZIE NA EKSPORT!

Francuska kinematografia coraz aktywniej przejmuje rolę ambasadora kultury, myśli twórczej, a także... urody młodych Francuzek. Bo oto zdarzyła się rzecz trochę niespodziewana. Ekskluzywne czasopismo amerykańskie „Look" zamieściło na swej okładce po lewej stronie zdjęcie Brigitte Bardot, a po prawej... podobiznę Eisenhowera. A wewnątrz numeru amerykańscy krytycy rozterzają z powagą i skupieniem wdzięki i zalety Brigitte. A oto niektóre spośród odkrywczych uwag: „Bardot nie przypomina innych dziewcząt, jest w niej jakiś bunt, który przywodzi na myśl James'a Dean'a. Dzięki swojej bezpretensjonalnej osobowości i prymitywnej urodzie symbolizuje niespełnione marzenia mężczyzn". I wreszcie na zakończenie: „B. B. podbiła Amerykę".

SKAT

EKRANIK

SAMOKRYTYKA. „Ekranik" przyznaje ze smutkiem, zażenowaniem i skruchą, że z winy swojego autora, Donalda, palnął nie lada gaffę. Napisał bowiem, że „w Warszawie rozpoczęto już prace nad zdubbingowaniem „Zbrodni i kary". A tymczasem ów film został już zdubbingowany w... Łódzkim Studio Opracowań Dialogowych!

Niniejszą informację podał „Ekranikowi" ktoś, kto uczestniczył w skromnej libacji, która uwieńczyła dzieło. Reżyserem polskiej wersji językowej „Zbrodni i kary" — jest Mirosław Bartoszek. Kiedy „Ekranik" zobaczy efekt na ekranie, natychmiast wrażenia swoje postara się opisać.

JACKIE COOGAN — ostrz fotografia reprodukowana poniżej! — niezapomniany Brzdąc z filmu Chaplina (1921), dziś wygląda już troszeczkę inaczej...

ZASTĘPCA

CHAPLIN W EUROPIE

W roku 1921 Charlie Chaplin odwiedził Europę. Oto, co pisze na ten temat Georges Sadoul, historyk filmu i autor znanej monografii artysty:

„— W sąsiedztwie Ritza zgromadziły się niezliczone tłumy. Na tarasie wielkiego hotelu dziesięć kamer kroniki filmowej czeka na Chaplina. Falowanie tłumu przewraca raz po raz aparaty i operatorów. Mały człowieczek odważa się wysiąść z taksówki, tłum porywa go i niesie do bramy, której pilnują policjanci. Chaplin przechodzi przez hall, który olśniewa przepychem, marmurami, brązami. Zgromadzeni usiłują go zatrzymać, by mu przedstawić lordów, bankierów, biskupów. Z wielkim trudem dociera do swojego apartamentu. Przed hotelem tłum wyje, krzyczy, nalega... Charlie wychodzi na balkon. Trzyma ogromną wiązankę czerwonych róż. Kłania się, potem zaczyna rzucać róże w tłum. Lecz przerażony komisarz policji przybiega na balkon.

— Niech pan nie rzuca, mister Chaplin, niech pan nie rzuca! Gotowi pozabijać się, potratować. Będziemy odpowiadać, jeżeli będą ofiary. Niech pan robi wszystko, co pan chce, ale nie to. Błagam pana, niech pan nie nie rzuca z balkonu...".

Minęło trzydzieści kilka lat. I Wojciech Natanson w ten sposób zaczyna swoją korespondencję z Paryża:

„Ulicą Faubourg Saint — Honore, w piękne, październikowe popołudnie spacerował wytworny pan, pod rękę z młodą kobietą. Ktoś trącił mnie w ramię. Istotnie, to Chaplin, incognito. Zaledwie ten i ów z przechodniów posyłał wielkiemu aktorowi uśmiechnięte, zachwycone, ale dyskretne spojrzenie. Chaplin rozkoszował się tą swobodą, niezależnością i spokojem. Można przypuszczać, że dobrze się czuł w Paryżu".